

W numerze: **Prezentacje: Henryk Debich • Igrzyska w Auschwitz - Birkenau • TERESA WOJCIECHOWSKA Pourót Henryka VI • KAROL BADZIAK Zezowate szczęście • HENRYK SZUBERT Wybitny działacz ruchu robotniczego • Zewsząd o wszystkim • Nowela**

# odgłosy



5 (741)  
30. I. 1972 r.  
Cena 1.50 zł

**TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV**



Fot. W. Parys

WIKTOR MAJSKI

## BRYTYJSKIE TAJNE DOKUMENTY

Z OKRESU II WOJNY

Na początku tego roku zostały udostępnione tajne brytyjskie archiwa rządowe z okresu II wojny, zaś dokładniej — z lat 1941–45. Dotychczas, w podobny sposób, zostały udostępnione, poczynając od stycznia 1970, archiwalne dokumenty z roku 1939, oraz w styczniu 1971 podobne materiały z roku 1940.

Zachowanie podobnego tempa ujawniania dokumentów oznaczałoby, że zainteresowani historycy i badacze okresu II wojny musieliby czekać jeszcze kilka lat na udostępnienie całości materiałów, obejmujących okres wojenny. Naciski ze strony tych kół w Wielkiej Brytanii okazały się na tyle skuteczne, że w ciągu minionego roku zostały przygotowane do udostępnienia dokumenty aż po rok 1945.

Oczywiście, naukowe ich zbadanie wymagać będzie jeszcze wielu wysiłków i niemało czasu. Brytyjski „Economist”, starając się określić liczbę tych dokumentów, uciekł się do dość oryginalnej miary długości, stwierdzając, że zajmują one ponad 7 mil półek archiwalnych.

Spore ułatwienie dla badaczy stanowić oczywiście może zawczasu wydany przewodnik po dokumentach. Z pewnością właśnie dzięki temu przewodnikowi udało się prasie brytyjskiej, już w kilka dni po udostępnieniu dokumentów, dotrzeć do niektórych dotyczących szczególnie interesujących okresów II wojny.

Trzy warianty konfliktu niemiecko-radzieckiego

W brytyjskim dzienniku „The Daily Telegraph” ukazały się m. in. materiały z najbardziej przelomowego okresu w II wojnie — hitlerowskiego uderzenia na Związek Radziecki i wejścia w ten sposób ZSRR na światową arenę działań wojennych.

Chodzi o fragmenty protokołów z dwóch posiedzeń brytyjskiego gabinetu z 9 i 16 czerwca 1941 r., a więc na 13 i na 6 dni przed hitlerowskim uderzeniem na ZSRR.

Dalszy ciąg na str. 3

KONRAD TUROWSKI

## Historia jakich mało

Miał już skończone 15 lat, gdy dowiedział się, że wychowują go obcy ludzie. Pośród domowych szpargałów znalazł przypadkiem akt sądowy o adopcji. Urzędowy dokument autorytatywnie stwierdzał, że matka i ojciec zostali rozstrzelani w czasie okupacji. Poczul wtedy jaką okropną bezsilność wobec swego losu. Podał pismo a strzępy spalił. Zdawał sobie sprawę, że skoro rodzice nie żyją, niczym nie zmieni swojej sytuacji. Starał się zapomnieć.

Czasem jednak próbował coś wygrzebać z pamięci. Na próżno. Z najwcześniejszych wspomnień pozostawał mu jedynie mglisty widok rozkołysanych wiatrem i pnących się wysoko, do nieba, zielonych drzew. Nie mógł jednak skojarzyć ich z żadnym, bardziej konkretnym wydarzeniem.

Biesiakowie nigdy nie dali mu odczuć, że nie jest ich synem. Doskonale pamięta jak popisywali się jego uzdolnieniami muzycznymi, gdy miał nie więcej niż 6–7 lat. Biesiak kupił mu harmonię.

Często grał przy gościach, w restauracji, którą oboje prowadzili w X. Ludzi ujmował widok małego grajka. Sypały się datki. Jest przekonany jednak, że nie robili tego dla pieniędzy. Chcieli raczej zaimponować jakiegoś to mającego zdolnego syna...

Główny nurt życia Biesiaków toczył się właściwie poza nim. Dbali, aby miał spokój do nauki. Po szkole podstawowej posłali go do liceum pedagogicznego. Został nauczycielem matematyki. Wyjechał na wieś. Tam poznał dziewczynę, z którą się ożenił.

Biesiakowa przeciwna była temu związkowi. Uważała, że popelnia mezalians żeniąc się z dziewczyną ze wsi, choć również nauczycielką. Chciała dla niego panny z miasta. Nawet nie pojechała na ślub i wesele, które urządzono w domu dziewczyny, we wsi odległej o kilkanaście kilometrów. Wymówiła się chorobą. Tylko Zenon Biesiak pojechał...

Po pewnym czasie młodzi sprządzili się do X, i zamieszkali u Biesiaków. W 1966 roku urodził

się im pierwszy syn a w trzy lata później drugi.

X jest stosunkowo dużym miastem, ale i tutaj ludzie o sobie dużo wiedzą. Powiedzieli młodej Biesiakowej, że jej mąż nie jest rodzonym dzieckiem starych Biesiaków. — Nie słuchaj co tam ludzie gadają — zbywał ją, gdy o to pytała.

Była jednak zadowolona, że to może być prawda. Biesiakowie bowiem nie mieli najlepszej opinii. Poznali się przed wojną. Ona pracowała w restauracji, w której on był szatniarzem i spełniał rolę wykidajły. Gdy się pobrali otworzyli własny interes. Nie zamknęli swojej restauracji w czasie okupacji. Podpisali volkslistę. W ich lokalu bywali przeważnie Niemcy. Nie szkodzili jednak Polakom, więc po wojnie ominęła ich kara, a nawet dalej mogli prowadzić swoją restaurację. W latach pięćdziesiątych dopiero ją zamknęli. Dom wtedy rychło zamienił się w nielegalny bar. O każdej porze dnia i nocy sprzedawali alkohol i gorące posiłki. Nie

sobie nie robili z kar pieniężnych, które im nakładano. Placili grzywny i dalej prowadzili swoją działalność.

Nie wciągali jednak do tego Mirka. Nawet Zygmunt Biesiak, który za koiłnierza nie wylewał i częściej był pijany niż trzeźwy, nigdy go nie namawiał do picia wódki. — On musi się uczyć i nie może pić — bronił chłopca, gdy któryś z kompanów weiskał mu do ręki kieliszek z wódką.

W marcu 1971 roku Zygmunt Biesiak przeziębził się, dostał zapalenia płuc i umarł. Po pogrzebie Biesiakowa się rozchorowała. Zabrał ją do szpitala.

Wtedy właśnie do młodych Biesiaków przyszła jedna z sąsiadek i tak od słowa do słowa, niby mimochodem, zapytała czy wiedzą, że starzy otrzymywali listy z Francji. Powiedzieli więcej, że te listy podobno pisała matka Mirka... Aniela Biesiakowa wkrótce wróciła ze szpitala. Nie chciała jednak mówić o listach z Francji. —

Dalszy ciąg na str. 4





**DOROCZNE OREDDZIE NIXONA** „o stanie państwa”, choć po nim zawsze następuje kolejne: „o stanie świata”, zawierało tym razem wiele elementów międzynarodowych. Skonstruowane zostało zresztą tak, aby mogło stanowić polityczną platformę Nixona w kampanii wyborczej. Liczni senatorzy: Muskie, Humphrey, Jackson... podjęli natychmiast ostrą krytykę oredzia, oświadczając, że było ono „puste”, a to, co w nim przedstawiono, „zostało już wielokrotnie powiedziane w ostatnich latach”. Mimo to oredzie Nixona zasługuje na uwagę, i to z kilku powodów.

Szukając atutów wyborczych prezydent Stanów Zjednoczonych bardzo optymistycznie ocenił swe trzydziecioletnie w Białym Domu, przynajmniej, iż sytuacja „była ostrzejsza niż się spodziewał, obejmując swój urząd”. Wojna wietnamska — mówił teraz — spowodowała kryzys duchowy, ale też zrodziła poważne problemy ekonomiczne. Narastała inflacja, czego wyrazem był wzrost cen w 1969 roku o 6 proc. Wystąpiła więc konieczność obniżenia wydatków na wojnę przez redukcję liczebności sił zbrojnych USA w Wietnamie.

Nixon zapowiedział następnie, że celem USA jest całkowite zakończenie wojny, które — jego zdaniem — jest możliwe bądź na drodze negocjacji bądź... wietnamizacji. Podjął równocześnie polemikę z tymi, którzy domagają się natychmiastowego i bezwarunkowego położenia kresu tej wojnie. „Musimy powstrzymać wahadło, zanim przesunie się do przeciwstawnej pozycji” — oświadczył zagadkowo.

W oczywistej sprzeczności z przyznaniem, iż wydatki wojenne osłabiają gospodarkę USA — pozostaje jego domaganie się przeznaczania na te cele jeszcze większych sum. Dodatkowe fundusze — komentuje waszyngtoński przedstawiciel Reutersa — będą z pewnością wykorzystane na rozwój marynarki wojennej, a w tym na budowę atomowego lotniskowca, którego ogólny koszt wyniesie ok. 1 mld dolarów. Amerykańskie okręty podwodne mają być wyposażone w pociski rakietowe typu „Uth”, których zasięg wynosi do 10 tys. km, a więc jest dwukrotnie większy niż stosowanych obecnie.

Dalszy wzrost wydatków na zbrojenia Nixon uzasadnia celami polityki amerykańskiej, które sformułował następująco:

- utrzymywanie nuklearnej siły odstraszającej,
- udzielanie pomocy innym krajom w rozwijaniu ich zdolności obronnych,
- honorowanie zobowiązań sojuszniczych,
- obrona interesów USA zawsze i wszędzie, gdy są one zagrożone oraz ograniczone zaangażowanie się tam, gdzie tego zagrożenia nie ma,

Do pozytywów minionego roku Nixon zaliczył: porozumienie czterech mocarstw, w sprawie Berlina, postępy w dziedzinie ograniczenia zbrojeń strategicznych oraz zwiększenie współpracy z Związkiem Radzieckim w badaniach kosmicznych i na polu gospodarczym.

Zapowiedziane wizyty w Pekinie i Moskwie Nixon traktuje jako otwarcie nowych szans. „Nowe szanse — podkreślił — nie oznaczają jednak, że lekceważymy starych przyjaciół”.

Międzynarodowa część oredzia prezydenta USA spotkała się w prasie światowej z rozbieżnymi opiniami. Niektórzy komentatorzy akcentują przede wszystkim fakt, iż Nixon podtrzymuje politykę z pozycji siły, inni doszukują się w oredziu więcej elementów realizmu. Komentator AFP uważa np., że Stany Zjednoczone będą prowadzić bardziej „selektywną” politykę w dziedzinie swych zobowiązań, ale jednocześnie „bardziej otwartą”, wobec przeciwników. W sumie jednak oredzie nie przyniosło zapowiedzi zasadniczych zmian w polityce Waszyngtonu, nie rokuje więc nadziei na rozwiązanie w br. sytuacji konfliktowych w południowej Azji i na Bliskim Wschodzie.

Wydarzeniem tygodnia w ostatnim z wymienionych rejonów świata jest ZREKONSTRUOWANIE RZĄDU EGIPSKIEGO. Licząc od śmierci Naser — września 1970 roku jest to już piąta zmiana. Obecnie na czele egipskiego gabinetu stanął Aziz Sidki, dotychczasowy wicepremier i minister przemysłu. W pierwszym posiedzeniu nowego rządu uczestniczył prezydent Sadat, który wygłosił przemówienie, poświęcone zadaniom gabinetu. Sadat ostro zaatakował w nim Stany Zjednoczone, stwierdzając, że stały się one stroną w konfliktach. Dlatego też Egipt, który przygotowywał się tylko do walki z Izraelem, musi na nowo przeanalizować sytuację. — USA rzuciły nam jawne wyzwanie. Czekaj nas więc długa, decydująca walka — powiedział prezydent.

Te słowa Sadata uważa się za zamykające okres wyczekiwań na taką ewolucję stanowiska Stanów Zjednoczonych, która pozwoliłaby przy ich pomocy rozwiązać konflikt. Podjęcie przez Waszyngton decyzji o dalszym, ale jakościowo nowym wsparciu militarnym dla Izraela, przekreśla takie nadzieje.

Zmiany w rządzie Egipskiej Republiki Arabskiej biorą to za punkt wyjścia. Nowa ekipa stawia przed krajem zadanie wykorzystania całego potencjału gospodarczego dla zwycięstwa w konflikcie. Oczekuje się ważnych decyzji gospodarczych, na realizację których potrzebny jest czas. Z tego też względu mianowanie Sidkiego premierem jest dla wielu komentatorów równoznaczne z oddaleniem próby bezpośredniej konfrontacji egipsko-izraelskiej.

W. SŁAWSKI

● Zawsze o wszystkim ● Zawsze o wszystkim ●

## Złote medale w narkotycznym odurzeniu

„NEW YORK TIMES MAGAZINE” — NOWY JORK

Sport i narkotyki — to w USA niemal synonim. Tom Askear, były trener drużyny lekkoatletycznej jednego z koledżów oraz autor sześciu książek o tematyce sportowej powiada, że „sportowiec, który osiąga znakomite wyniki, a przy tym nie zażywa narkotyków — jest czymś zgola wyjątkowym”.

Zdobywca złotego medalu w dziesięcioboju na Igrzyskach Olimpijskich w 1968 nie ukrywa, że zażywał narkotyki, dzięki czemu zwyciężył w Meksyku. Nie jest on jedynym narkotykiem się członkiem amerykańskiej kadry olimpijskiej z 1968 roku. Doktor Tom Weadell, który sam uprawia dziesięciobój i na Igrzyskach Olimpijskich zajął szóste miejsce w tej konkurencji twierdzi, iż ponad trzecia część całej lekkoatletycznej ekipy amerykańskiej w 1968 roku zażywała narkotyki. Większość sportowców zażywała steroidy, a niektórzy nawet robili sobie iniekcje.

W spisie sportowców, zażywających środki narkotyczne, (podaje go czasopismo „Sports Illustrated”) ukazały się nazwiska takich gwiazd amerykańskiego sportu, jak R. Matson — champion Igrzysk Olimpijskich w 1968 roku i zdobywca rekordu świata w pchnięciu kulą, D. Long — zwycięzca w pchnięciu kulą na Olimpiadzie w 1964 roku, H. Connolly — zdobywca złotego medalu w rzucie młotem na Igrzyskach Olimpijskich w 1956 roku.

Steroidy nie są jedynym narkotykiem, używanym przez sportowców, a lekkoatletyka nie jest jedyną dyscypliną sportu, w której pełni się narkomania. Na używanie amfetaminów przez zawodników baseballa pierwszy zwrócił uwagę przodujący gracz i ligi baseballa J. Bronsman w książce „Długi sezon”. Pięć on, że zawodnicy sięgają po narkotyki, żeby wytrwać do końca rozgrywek ligowych. Piszą też o tym i inni autorzy książek o sporcie, a C. Dobson, członek drużyny atletycznej z Oakland, w wywiadzie dla gazety „San Francisco Chronicle”, udzielnym w ubiegłym roku, mówi otwarcie, że niejednokrotnie zażywał narkotyki.

### NIEDYSKRECYJA „KOLTA”

W „Sports Illustrated” Bill Gilbert opisał nader charakterystyczny wypadek. W czasie finałowego spotkania o puchar Stanleya z drużyny Detroit, Bobby Bond, występujący w składzie „Klownów liści z Toronto”, doznał poważnej kontuzji nogi. Z boiska wyniesiono go na noszach. Po masażu zrobiono mu znieczulający zastrzyk z narkotyku, mocno przewiązano nogę, po czym powrócił on na łód. Nazajutrz lekarz stwierdził złamanie kości łydkowej. Mimo to Bond nie znalazł się w łóżku szpitalnym, lecz na lodowisku, otrzymując przed każdym wyjściem na lod znieczulający zastrzyk z narkotyków.

Zaledwie kilka miesięcy temu, Associated Press powołała się na Billa Stelley, napastnika drużyny „Chicagońskie niedźwiedzie”, który przyznał, iż w ubiegłym se-

zonie zawodnikowi „Niedźwiedzi” — Robby Greenowi, przed jednym z meczów zrobiono, ni mniej ni więcej, tylko 17 iniekcji z narkotyków!

Jednakże pod względem wielkości dawek i zróżnicowania zażywanych narkotyków wiedzie prym amerykański futbol. Praktycznie rzecz biorąc, cały zawodowy futbol amerykański trzyma się na narkotykach. Przestał on być rzadkością i w amatorskich drużynach. Niedawno miałem okazję usłyszeć gniewne słowa pewnego ojca, z których wynikało, iż najlepszemu graczowi amatorskiego klubu futbolu, do którego należy także jego syn, dano aż trzy zastrzyki z narkotyków, by zapewnić jego udział w dalszych rozgrywkach. O ile w rozgrywkach ojciec miał nieliczne grono słuchaczy, o tyle najlepszy gracz „Baltomorskich koltów”, Johnny Anitezza, wypowiedział się przed bardzo szerokim audytorium. W trakcie ogólnej euforii z racji zwycięstwa „Koltów” nad „Dallaskimi kowbojami”, reporter telewizyjny poprosił w szatni Johnny'ego o wywiad. Po odniesieniu poważnego obrażenia w pierwszej połowie meczu nie był on w stanie kontynuować gry. Dlatego też reporter, bez żadnej ubocznej myśli spytał go, czy w razie konieczności mógłby wystąpić w drugiej połowie meczu. Zaraz po tym wywiadzie w telewizji rozszły się słyuchy, że odpowiedź tego arcyznakomitego „Kolta”, na pytanie reportera, wywołała atak apopleksji pewnego działacza z Krajowej Ligi Futbolu Amerykańskiego. Johnny — bożyszcze wielu milionów kibiców — wypaplał, że zażywał narkotyki przed pierwszą połową meczu. Rewelacje gwiazdy przesyłały się po telewizorach stały się powodem niesłychanego popłochu wśród wodzirejów Krajowej Ligi Futbolu. Przez kilka miesięcy wydział propagandy Ligi usiłował zaprzeczyć faktom szerokiego rozprzestrzeniania się narkomanii wśród drużyn zawodowego futbolu amerykańskiego. Ale nic z tego, bo o to Huston Redage, z drużyny „Mustang San Diego” złożył skargę do sądu o odszkodowanie w wysokości 1.250.000 dolarów, обвиняjąc trenerów, lekarzy i kapitanów drużyny o szerzenie narkomanii wśród „Mustangów”.

„Dawano mi narkotyki wcale nie dlatego, żeby usunąć ból, a przede wszystkim dlatego, by zdopingować mnie przed meczem” — powiedział Redage. I chociaż sprawa Redage'a będzie dopiero rozpatrywana przez sąd, to jednak już dziś wiadomo z całą pewnością, iż władze klubu „Mustangów” „wzmocniły” swoich graczy amfetaminami i steroidami. Paul Loy, były gwiazdor „Mustangów”, zeznał przed sądem stanu Kalifornia, że tabletki sterooidów zawsze leża obok nakrycia każdego gracza w jadalni obozu sportowego. Loy, podobnie zresztą jak i

inni członkowie drużyny „Mustangów”, mówi, iż nawet nie podejrzewał, że te czerwone tabletki to steroidy.

### SPORTOWI KAMIKADZE

Narkotyki nie są bynajmniej przywilejem mężczyzn-sportowców. Są one niemniej znane i przedstawicielkom pięknej sportowej świata USA. Zażywanie, na przykład, amfetaminów przez 13-14-letnie pływaczki już od dawna przestało być czymś niezwykłym.

Narkomania wśród sportowców jest zazwyczaj otaczana tajemnicą, jako niezgodna z etyką sportową i potępiona przez świat lekarski. Spotkania niektórych drużyn, nazywanych powszechnie „drużynami straceńców”, stały się już nie do pomyślenia bez sięgnięcia po środki narkotyzujące, którymi „akumulują się” zawodnicy przed meczem. Pragnąc zdobyć piłkę, przeciwnicy twierdzą się w pełnym biegu, żeby zbić rywala z nóg. Bagatel! Niektórzy z nich ważą nieraz po 300 funtów (ok. 135 kg!). Stąd liczba obrażeń, nie rzadko poważnych, jest nie-

zwykle wysoka. Tylko w ciągu połowy minionego sezonu, Krajowa Liga Futbolu Amerykańskiego wydała 2 miliony dolarów na leczenie pokaleczonych graczy. Niedawno usłyszałem w radio, że japoński lotniczy-kamikadze zażywał przed lotem amfetamin. Wiedzieli, że nie jest im sądzone powrócić żywo i w ten sposób starali się zobojętnić na śmierć. Być może, że i zawodnicy „drużyn straceńców” sięgają po narkotyki z tych samych powodów. Wszak wielu sportowców zażywa narkotyki w dużo większych dawkach, niż mógłby je przepisać najbardziej „odważny” lekarz. Często otrzymują steroidy i amfetaminy nawet nie od lekarzy, lecz od swych kolegów-farmaceutów. Przy tym sportowcy sądzą naiwnie, iż sukces jest wprost proporcjonalny do ilości zażytego narkotyku.

Zażywanie narkotyków, które zatacza coraz szersze kregi, i w większości wypadków nie jest nawet kontrolowane przez lekarzy, grozi sportowcom całkowitą utratą sprawności fizycznej, a także i umysłowej.

## Z dni wojny w Bangla Desz

„L'EXPRESS” — PARYŻ

„Kryj się, szybko!” Pociąg przeleciał mi koło ucha i wpadł w listowie drzew. Inne, gęstym ściegiem przeziły drogę wznosząc formem kłębi kurzu. Skryłem się za jednym z czołgów. Jego dowódca, ogromny, brodaty Hindus w kombinie z czarnej skóry, szybko zatrząskując kłapkę wazu. „Nie tutaj!” — woła porucznik. — „Do rowu!”. Właśnie! Siedziałem w nim niemal bez przerwy. Serie z automatów, na przemian z eksplozjami min, które rwały się w pobliżu, nie pozwalały wysunąć nawet nosa.

Dowództwo hinduskie zezwoliło zagranicznym dziennikarzom towarzyszyć czołowym oddziałom swych wojsk. Było to wyraźnym dowodem, że Indie walczą z czystym sumieniem. Poruszałmy się bez ograniczeń. Hindusey oficerowie często powtarzali: „Oskarżają nas o agresję. Możecie się sami przekonać, jak jest naprawdę. Nie prowadzimy wojny zaborczej, lecz wyzwoleniczą”.

W miarę, jak wojska hinduskie zbliżyły się do delty Gangesu, ludność — w swej masie muzułmańska — wychodziła z lasów. Ludzie ze łzami w oczach witali hinduskich żołnierzy, wynosili im pożywienie, częstowali herbatą, mlekiem, przynosili im wodę do picia. Zmasowana ofensywa wojsk hinduskich — w której brały udział czołgi, ciężkie 130-milimetrowe działa, oddziały saperów stawiających w kilka godzin nowe mosty — była w pełni efektywna. Pozbawione lotnictwa, zablokowane przez hinduską flotę wojenna, dywizje pakistańskie nie mogły uniknąć klęski.

Armia hinduska widzi teraz, że cały Wschódni Bengal wita ją serdecznie. Ale żołnierze rozumieją także, że aby tę serdeczność zachować, nie mogą tu przebywać zbyt długo.

„Wojska hinduskie odejda stad, jak tylko nastąpi oswobodzenie całego terytorium kraju” — powiedział mi w pierwszym oswobodzonym mieście — Dżessore — premier Bangla Desz, Tadzuddin Ahmed.

Rzeź, dokonywana przez żołnierzy pakistańskich, trwała do ostatnich dni. „Z początku — opowiadał nam w Dżessore — armia pakistańska mordowała tylko stronników autonomii. Następnie wojsko wzięło się za Hindusów, których jest tutaj około 10 milionów. Później całą brudną robotę oddano w ręce „razakarów” — oddziałom kolaborantów, rekrutujących się z Biharów (niebengalskich muzułmanów, którzy pojawili się we Wschodnim Bengalu po podziale Indii przed Brytyjczykami). Do oddziałów „razakarów” szli także i niektórzy Bengalczyki — kryminaliści wypuszczani z więzień. Dawano im karabin, trzy rupie dziennie i nieograniczone prawo do grabieży. Oddziały „razakarów” liczyły około 55.000 ludzi. Chodzili oni od wsi do wsi ze spisami „autonomistów” i mordowali ich na miejscu.

Obecnie w Dżessore, ozdobionym tysiącami zielono-żółto-czerwonych flag, panuje świąteczna atmosfera. Bojownicy Mukti Bahini, w większości studenci, opasani taśmami z amunicją, uzbrojeni w zdobyte na wrogu chińskie karabiny automatyczne, z uwagą wysłuchują wystąpienia członków rządu. Miasto wraca powoli do normalnego życia. Otwiera się sklepy. Bujna zieleni pokrywa już czarne plachy pogorzelisk w ograbionych wsiach. Tysiące mieszkańców powraca do swych domostw.

Czterdzieści kilometrów od Dżessore spotkałem na drodze całe kolumny samochodów ciężarowych, zapelnionych masą uchodźców, powracających z Indii do kraju, do Bangla Desz.

● Zawsze o wszystkim ● Zawsze o wszystkim ●



# LAUREACI

## OLGA OLGINA-MACKIEWICZ

— nagroda za osiągnięcia w dziedzinie upowszechnienia wiedzy i kultury

Profesor Wyższej Szkoły Muzycznej, dziekan Wydziału Wokalno-Aktorskiego tej uczelni. W łódzkiej PWSM pracuje od 1945 roku, kształcąc pokolenia śpiewaków solistów dla naszej i innych scen operowych. Jej uczennicami są m. in. Teresa Żylis-Gara, Teresa Wojtaszek-Kublak, Halina Romanowska, Izabela Kobus. Ma duży udział w organizacji i powstaniu Opery Łódzkiej, dla której przygotowywała pierwszych solistów.

Za zasługi w dziedzinie szkolnictwa muzycznego odznaczona została m. in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, nagrodą I stopnia ministra kultury i sztuki za osiągnięcia naukowo-dydaktyczne.

## TADEUSZ PAWLIKOWSKI

— nagroda za osiągnięcia w dziedzinie nauk medycznych

Doktor medycyny, profesor Akademii Medycznej i od 1970 roku jej rektor. Pedagog i światowej miary naukowiec, specjalista w dziedzinie endokrynologii i histologii, jest autorem podręczników z tych dziedzin. Jego zasługi dla miasta polegają również na tym, że stworzył pierwszą w Polsce Klinikę Endokrynologiczną przy Akademii Medycznej oraz Poradnię Endokrynologiczną dla Łodzi i województwa. Prof. dr Pawlikowski był promotorem szesnastu doktoratów i opiekunem habilitacji.

Odnaczony jest Krzyżem Komandorskim, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, nagrodą I stopnia ministra zdrowia i opieki społecznej oraz odznaką za wzorową pracę w służbie zdrowia.

## HENRYK DEBICH

— nagroda za osiągnięcia w dziedzinie kultury

O tym laureacie, którego sylwetkę artystyczną ukazujemy w bieżącym numerze „Odgłosów”, powtórzyć możemy tylko raz jeszcze: absolwent łódzkiej Wyższej Szkoły Muzycznej, dyrygent, od 1952 roku kierownik artystyczny Orkiestry Radiowej, koncertującej w kraju i za granicą.

Odnaczony m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz nagrodą ministra kultury i sztuki. Wśród odznaczeń zagranicznych posiada medal Wschodniozwiązkowego Komitetu do Spraw Radia i Telewizji Moskwy oraz wielką nagrodę Rady Kultury Kuby.

## WŁADYSŁAW BOJKOW

— nagroda za osiągnięcia w dziedzinie upowszechnienia kultury i twórczości artystycznej

Artysta-plastyk, architekt wnętrz, pełnił szereg funkcji w Związku Polskich Artystów-Plastyków, był również wykładowcą w łódzkiej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Ma za sobą wybitne osiągnięcia w dziedzinie architektury wnętrz. Jego prace uczestniczyły w wystawach zagranicznych. Jest autorem projektów wielu wnętrz Łodzi, m. in. księgarni, domów mody, Domu Wypoczynkowego „Prąszniczka”, lokalu „Turysty”. Pracował w zespole projektantów wnętrz statków „Włókniarz” i „Łódź”.

Jest odznaczony m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i medalem ZPAP za całokształt pracy.

## ZESPÓŁ STUDIA MAŁYCH FORM FILMOWYCH

w składzie: LUCJAN DEBIŃSKI, JANINA HARTWIG, EUGENIUSZ IGNACIUK, MIECZYSLAW JANIK, JADWIGA KUDRZYCKA, LESZEK NARTOWSKI, MARIAN SITEK, TADEUSZ WILKOSZ

— nagroda za serię filmową „Przygody misia Colargola”

Zespół ten zrealizował film składający się z 13 odcinków, będących częścią 52-odcinkowej serii, wyprodukowanej na zamówienie Francji. Film uzyskał bardzo dobrą ocenę za granicą, a poszczególne odcinki uzyskały nagrody w kraju. W Paryżu zespół otrzymał nagrodę główną na Festiwalu Filmów Krótkometrażowych dla Młodzieży.

## ZESPÓŁ ZAKŁADU ENERGETYCZNEGO ŁÓDŹ - MIASTO

w składzie: JAN CERSKI, MIROSLAW CIECHULSKI, JÓZEF KACZKOWSKI, JÓZEF KĘPA, WŁODZIMIERZ KLAWSUĆ, ANDRZEJ KOWALÓWKA, ZYGFRED KWIATKOWSKI, MARIA LASKOWSKA-BOGUSŁAWSKA, LUCJAN LASKOWSKI, ROMAN ROJEK, ZDZISŁAW SABELA, WŁADYSŁAW SIECZYŃSKI, STEFAN SNOWADZKI, JAN SUCHARA, JAN SZYMCZAK.

— nagroda za osiągnięcia w dziedzinie techniki

Zespół ten wyróżnił się wybitnymi osiągnięciami w dziedzinie gospodarki energią elektryczną w Łodzi. Dzięki pracom zespołu w dziedzinie zmiany napięcia w elektroenergetycznej sieci rozdzielczej w Łodzi uzyskano około 48 mln zł oszczędności i zmniejszenie rocznych strat energii wartości 11 milionów złotych. Dalsze prace w tej dziedzinie przyniosły 45 milionów zł oszczędności i obniżenie strat energii wartości 4 milionów zł.

Wszystkim laureatom tegorocznej nagrody miasta Łodzi składamy serdeczne gratulacje.

## Dalszy ciąg ze str. 1

Był to okres dla W. Brytanii szczególnie trudny. Wprawdzie jesienią poprzedniego roku, w słynnej „bitwie o Anglię” zażegnana została groźba bezpośredniej niemieckiej inwazji na wyspę, niewiele to jednak poprawiło militarną sytuację Brytyjczyków.

W kwietniu 1941 roku wojska niemieckie uderzyły na Jugosławię i Grecję, zajmując oba kraje. W maju Brytyjczycy ponieśli kolejną niezwykle bolesną porażkę. Niemiecki desant spadochronowy opanował Kretę, bardzo ważną ze strategicznego punktu widzenia pozycję we wschodniej części Morza Śródziemnego.

W ten sposób cała Europa od Pirenejów po Bug i od Norwegii po najdalej na południe wysunięte krańce kontynentu znalazła się w rękach niemieckich. Wszystkie europejskie zasoby stały się do dyspozycji hitlerowskiej maszyny wojennej.

Równocześnie zagrożona została najbardziej żywotna brytyjska arteria — Kanał Sueski. W marcu 1941 r. wyładował w Libii Afrika Korps generała Rommla, zmieniając poprzednie klęski wojsk włoskich w pasmo sukcesów, w wyniku których wojska brytyjskie zepchnięte zostały w głąb Egiptu, a Niemcy usadowili się w Es Sollum i Halfaya Pass, zagrażając — już z niezbyt daleka — Aleksandrii, a za nią Port Saidowi.

Na drugiej, niezwykle żywotnej, morskiej trasie komunikacyjnej, na Atlantyku, z miesiąca na miesiąc rosło zagrożenie ze strony niemieckiej floty podwodnej.

Tak więc koniec maja i początek czerwca 1941 r. w brytyjskich kronikach wojennych zapisywały się raczej dość czarno. Nic dziwnego, że gabinet brytyjski szczególnie zainteresowaniem obdarzał wiadomości na temat postępującej koncentracji wojsk niemieckich na pograniczu Związku Radzieckiego.

Na posiedzeniu gabinetu w dniu 9 czerwca min. Eden oświadczył, jak zanotowano w protokole: „wszystkie dowody wskazują, że niemiecka koncentracja przeciw Rosji ulega intensyfikacji”. W związku z tym brytyjski minister spraw zagranicznych sugerował wzmoczenie nalotów na cele w zachodniej Europie.

Przeclawiał się temu szef sztabu RAF, generał Portal, twierdząc, że „byłoby lepiej trzymać nasze siły powietrzne na podrodziu do czasu aż Rosja zdecyduje się walczyć z Niemcami”.

Stanowisko to znalazło poparcie całego gabinetu.

Na posiedzeniu rządu brytyjskiego w dniu 16 czerwca ważnym punktem było sprawozdanie sir Stafforda Crippsa, brytyjskiego ambasadora w Moskwie.

Stwierdził on na wstępie, że: „w kołach dyplomatycznych w Moskwie przeważający jest pogląd, iż Rosja nie będzie się mogła utrzymać przeciw Niemcom dłużej niż trzy do czterech tygodni. Na koniec tego czasu nieprzyjaciel może już być w Leningradzie, Moskwie i Kijowie”.

Następnie Stafford Cripps przedstawił trzy warianty wyników wojny radziecko-niemieckiej. W protokole wyglądają one następująco:

I. Rosja może się poddać i stać się niemieckim państwem wasalnym.

II. Po krótkiej kampanii wojennej Rosja zostanie pobita.

III. Rosjanie mogą być zdolni okupić pokój na warunkach, które nie będą oznaczały ich militarne i gospodarczego uzależnienia od Niemiec”.

Sir Stafford uznał, że pierwsza możliwość jest najgorsza z brytyjskiego punktu widzenia, a trzecia względnie najlepsza.

W ogóle natomiast nie przewidywał możliwości radzieckiego zwycięstwa nad Niemcami.

Brytyjskie poglądy na temat radziecko-niemieckiego konfliktu szybko musiały ulec gruntownej rewizji. Niektóre konsekwencje tej zmiany poglądów były bardzo znamienne, co ukazują dokumenty o trzy lata późniejsze.

W tym czasie w Londynie pracował już intensywnie specjalny komitet, planujący działalność wojenną. Prace komitetu koncentrowały się w dużym stopniu na problemach ewentualnego konfliktu zbrojnego W. Brytanii ze Związkiem Radzieckim. Wyniki badań komitetu musiały w sposób bardzo istotny wpływać na kierunek pracy sztabu generalnego, jeśli — w pewnym momencie

— doszło do konfrontacji między stanowiskiem szefów sztabu, a ministrem Edenem. Czuł się on mianowicie zmuszony do ostrzeżenia, że badania nad sprawą ewentualnego konfliktu ze Związkiem Radzieckim przybrały takie rozmiary, iż realnie stało się niebezpieczeństwo powstania przecieków, uświadamiających o wszystkich stronach radziecką.

Rzecz działa się w roku 1944, kiedy to jeszcze — przynajmniej formalnie — nie podawano w wątpliwość sojuszu wielkiej, antyhitlerowskiej trójki — USA, Związku Radzieckiego i W. Brytanii.

## Projekt zerwania z de Gaulle'em

Na uwagę historyków z pewnością zasłużył pewien dokument rzucający dodatkowe światło na charakter stosunków między generałem de Gaulle'em a rządami — brytyjskim i amerykańskim.

Chodzi o protokół z posiedzenia gabinetu brytyjskiego w dniu 7 czerwca 1944, a więc nazajutrz po dokonaniu przez aliantów inwazji na kontynent.

Brytyjski tygodnik „Economist” przedstawia w swoim pierwszym styczniowym numerze fragment protokołu dotyczący stosunku do de Gaulle'a. Czytamy tam, że premier (Churchill): „dokonał przeglądu biegu spraw, które miały tak nieszczytny wpływ na stosunek prezydenta (USA) wobec de Gaulle'a. On sam został doprowadzony w świetle doświadczeń do odczucia, że istniało bardzo istotne uzasadnienie poglądów przy-

nie historyczne. Na podstawie poprzedniej decyzji Komitetu Wyzwolenia, w dniu 3 czerwca, tzw. Zgromadzenie Doradcze jednomyślnie zaakceptowało przekształcenie Komitetu w Rząd Tymczasowy Republiki Francuskiej.

Tak więc, lądując w W. Brytanii, de Gaulle wystąpił po raz pierwszy w charakterze premiera rządu. Co w istocie zamierzał począć wówczas Churchill, trudno dziś stwierdzić z całą pewnością. W każdym razie urządził się tak, że de Gaulle nie znalazł się we francuskiej siedzibie w Londynie, lecz w angielskim otoczeniu, w pociągu stacjonującym w pobliżu Portsmouth, który był kwaterą Churchilla w decydujących dniach poprzedzających inwazję.

Jeszcze tego samego dnia, w czasie obiadu, miała miejsce scysja między Churchilllem i de Gaulle'em na temat stosunku rządów USA i W. Brytanii do rządu francuskiego.

Następna scysja spowodowana była tekstem odezwy przygotowanej przez naczelne dowództwo alianckie do zrzucenia na terytorium Francji. De Gaulle w swoich pamiętnikach pisze, że generał Eisenhower, był wyraźnie zmieszany, kiedy wręczał mu egzemplarz ulotki. Nie było w niej bowiem żadnej wzmianki ani na temat Komitetu Wyzwolenia, ani tym bardziej francuskiego Rządu Tymczasowego. Mowa natomiast była o konieczności wykonywania poleceń wydawanych przez alianckie władze wojskowe, oraz o tym, że Francuzi będą mogli sobie wybrać swój rząd.

De Gaulle zaprotestował przeciw ulotce, ale odpowiedziano

# Brytyjskie tajne dokumenty

(Z OKRESU II WOJNY)

W istocie poczuł się zobowiązany, w czasie pobytu w Waszyngtonie 21 maja 1944 roku, do zaproponowania gabinetowi wojennemu rozpatrzenia sprawy skończenia stosunków z generałem...”.

Dla lepszego zrozumienia tego dokumentu warto może przypomnieć niektóre wydarzenia tego okresu. W czasie, gdy naczelne dowództwo alianckie w Anglii czyniło ostatnie przygotowania do inwazji, generał de Gaulle przebywał w Algierze. W drugiej połowie kwietnia doszło do ostrego zatargu między de Gaulle'em a rządem brytyjskim. Chodziło o zarządzenie brytyjskie, zakazujące przekazywania z Londynu szyfrowanych depeesz. Zastosowano je również wobec przedstawicielstwa francuskiego Komitetu Wyzwolenia w Londynie, w wyniku czego ambasador Vienot i przedstawiciel wojskowy de Gaulle'a, generał Koenig nie mogli kontaktować się ze swoim szefem wedle normalnie przyjętej praktyki kodoowania wiadomości.

De Gaulle wydał im w związku z tym polecenie nie utrzymywania stosunków z przedstawicielami rządu brytyjskiego. I faktycznie przez przeszło miesiąc — do 23 maja — Komitet Wyzwolenia i jego przedstawiciele nie utrzymywali kontaktów z Brytyjczykami.

W tym dniu przybył do Algieru, jako przedstawiciel Churchilla Duff Cooper i przekazał generałowi de Gaulle'owi zaproszenie do złożenia wizyty w Londynie, celem przeprowadzenia rozmów.

Kilka dni później, 27 maja, przyjechał do Algieru przedstawiciel Komitetu Wyzwolenia w USA, admirał Fenard z czymś w rodzaju zaproszenia do spotkania z prezydentem Rooseveltem.

Zaproszenie przywiezione przez admirała Fenarda miało dość szczególną postać. Otóż de Gaulle przyjechałby do Stanów, ale w taki sposób, żeby nie było wiadomo, czy też on się tam wprosił, czy też został zaproszony przez Roosevelta.

De Gaulle zaproszenie Churchilla przyjął, rooseveltowskie odrzucił, nie spiesząc się jednak z wyjazdem. Zdecydował się dopiero wówczas, kiedy Churchill w dniu 2 czerwca przysłał do Algieru swój samolot osobisty. Przed tym jednak de Gaulle dokonał pewnego zabiegu, dzisiaj traktowanego we Francji jako wydarze-

mu, że już za późno na zmiany. Trzecia scysja — w samym dniu inwazji — dotyczyła sprawy wystąpienia w BBC szefów zachodnich rządów na emigracji.

Mimo, że inwazja nastąpiła we Francji, ustalone zostało, że wystąpienia odbędą się w następującej kolejności — najpierw do Norwegów, potem Holendrów, potem mieszkańców Luksemburga i następnie do Belgów. W dalszej kolejności miała być odczytana proklamacja generała Eisenhewera, jako naczelnego dowódcy, a dopiero wówczas zostawiono miejsce dla de Gaulle'a.

Generał nie zgodził się. Po długich pertraktacjach uzgodniono, że wystąpi oddzielnie, o innej godzinie.

W swoim wystąpieniu francuski przywódca nie omieszczał podkreślić — wbrew treści ulotek alianckich — że najważniejszą władzą dla Francuzów jest reprezentowany przezeń rząd. Miało to miejsce 6 czerwca o godzinie 6 wieczorem. Następnego dnia, na posiedzeniu gabinetu, Churchill podniósł kwestię zerwania stosunków z de Gaulle'em.

De Gaulle o tym, oczywiście, nie wiedział, kiedy 8 czerwca zjawił się w jego siedzibie minister Eden i prowadził rozmowę na temat szans pogodzenia się z Waszyngtonem. De Gaulle był nadal nieugięty w sprawach, jego zdaniem, pryncypialnych z punktu widzenia francuskich interesów. Nie ustąpił także w następnych dniach, kiedy — zapewne w celu zmiękczenia — odrzucono wszystkie jego kolejne zabiegi o uzyskanie możliwości dostania się na wyzwolone w pierwszych dniach inwazji terytorium Francji.

Brytyjczyki i Amerykanie pozwalają mu na to, po kolejnych scysjach, dopiero 13 czerwca.

Entuzjastycznie przyjęcie przez ludność — z jednej strony, a z drugiej — na froncie dyplomatycznym, kolejne akty uznania francuskiego Rządu Tymczasowego, przez inne rządy sojusznicze, umacniają definitywnie pozycję de Gaulle'a.

Protokół na temat rozważań gabinetu brytyjskiego zerwania stosunków z de Gaulle'em wędruje na półki tajnych archiwów. Ujrzeć światło dzienne dopiero po 27 latach.

WIKTOR MAŁSKI



# PREZENTACJE

Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi oraz jej kierownik artystyczny i dyrygent — Henryk Debich, znani są najbardziej z transmisji kolobrzeskich i sopockich festiwałów piosenki. I chociaż jest to łódzka orkiestra, łodzianie znają ją raczej z nagrań i transmisji niż z koncertów.

— Dlaczego orkiestra tak rzadko występuje w Łodzi?

— Bo wśród licznych propozycji tych łódzkich jest niewiele.

— A oferty z zagranicy?

— Koncertowaliśmy w Rumunii, NRD, a ostatnio, w 1970 roku w ZSRR, gdzie daliśmy pięć koncertów w pałacu „Ukraina” w Kijowie i pięć w sali im. Czajkowskiego w Moskwie.

— Dodajmy do tego festiwałe.

— Z krajowych wiadomo: raz opolski, raz zielonogórski, trzy razy festiwal w Kolobrzegu i pięć razy Sopot. U nas zwykle się narzekają na nadmiar festiwałów muzycznych i na to, że są zbyt długie. Ale co to znaczy w porównaniu z „Nordseefestival” w Knokke-Ostendzie, który trwa aż sześć tygodni. Wspólnie z czołową polską solistką uczestniczyłem w nim w 1963 roku, w dniu polskim. Debiutował wtedy Adamo, Claudia Cardinale wystąpiła z recitałem aktorskim, a na zakończenie dyrygował Roberto Benzi i Herbert von Karajan.

— Czy przypadkiem nie ma Pan już dość festiwałów?

— Przeciwnie. Uwielbiam je. Im trudniejsza impreza, wymagająca ogromnej pracy i dyscypliny, tym większa przygoda. I w dodatku znakomity sprawdzian dla orkiestry i dyrygenta.

— Po ostatnim „sprawdzeniu” w Sopocie niektórzy recenzenci wyrażali się o orkiestrze krytycznie.

— Nie wszystkie opinie były uzasadnione. Pisano na przykład krytycznie o akompaniamentach dla Nancy Wilson. Tymczasem zespół grał wówczas pod batutą jej dyrygenta i to bez uprzednich prób z solistką. W dodatku zespół złożony był wówczas po trosze z orkiestry katowickiej, małej grupy smyczkowej orkiestry łódzkiej i z czołowych polskich jazzmanów. Wszyscy razem stanowili twór niezgany, którego na pewno nie można nazwać orkiestrą łódzka. Mój błąd polegał na tym, że nie powinienem dopuścić do zmontowania takiego zespołu.

— Mimo tej krytyki był Pan jak zwykle obcałowywany przez wiele piosenkarek.

— Przez piosenkarzy też. Kiedy pobiegł do mnie piosenkarz z Wyp Bahama, dziennikarze, którzy podobno zakładali się, czy wytrzymam wszystkie pocałunki, krzyknęli: „Teraz Debich nie wytrzyma!”

— Jak Pan został dyrygentem?

— Ten zawód jest u nas rodzimym. Dyrygentem był mój ojciec i przy nim stawałem pierwsze kroki. Regularną naukę rozpocząłem w szkole muzycznej w Pabianicach i kontynuowałem w konserwatorium. Studiując na Wydziale Teorii Kompozycji i Dyrygentury PWSM w Łodzi prowadziłem zajęcia z dyrygenturą na Wydziale Pedagogicznym tej uczelni. W latach 1946-49 prowadziłem orkiestrę przy Oddziale Związku Zawodowego Muzyków PRL, z którą dawałem w radio tzw. „poranne koncerty dla świata pracy” dla kraju i zagranicy. W czasie studiów

otrzymałem dwie propozycje: praca w filmie albo w radio. Wybrałem tę drugą i objąłem po Franciszce Leszczyńskiej redakcję muzyki rozrywkowej w łódzkiej rozgłośni. Powstała wówczas idea utworzenia własnej orkiestry radiowej. W połowie 1949 roku zespół był zorganizowany i już w październiku odbył się pierwszy koncert.

— Gdzie?

— W hali fabrycznej Zakładów Mechanicznych im. J. Strzelczyka. W tym czasie byłem jednocześnie redaktorem, reżyserem, księgowym, kasjerem i dyrygentem nowo powstałej orkiestry. Dyplom dyrygenta otrzymałem dopiero w 1953 roku. W pięć lat później wyjechałem na stypendium do NRF, gdzie miałem okazję wiele nauczyć się od takich artystów, jak: Eugen Jochum, Karlheinz Stockhausen i Herbert von Karajan.

— Gdyby przygotowywał Pan galowy koncert swojej orkiestry, to kogo z solistów chciałby Pan zaprosić?

— W pierwszej chwili — jak zwykle składającej się z miniatur symfonicznych i aranżacji muzyki poważnej — chciałbym gościć Andrzeja Hiolskiego, Bernarda Ładysza i



## HENRYK DEBICH

Wiesława Ochmana. W drugiej — rozrywkowej — Ewę Demarczyk, Halinę Frackowiak i Niemena.

— A z piosenkarzy zagranicznych?

— Roberta Charlebois i Nancy Wilson.

— Tylko?

— Tak.

— Czy ma Pan zamiar utrzymać taką linię repertuarową, jak dotychczas: obok muzyki rozrywkowej

— Tak. Jest to jak gdyby moje credo artystyczne. Wydaje mi się zresztą, że taki zestaw programowy chętnie grany jest przez zespoły i to od rozrywkowych po wielkie orkiestry symfoniczne, a również lubiany przez publiczność. Poza tym uprawianie muzyki poważnej ma wpływ na poziom artystyczny zespołu. Dla mnie osobliście studiowanie partytury utworów Bacha, Haendla, czy Mozarta jest nie tylko przyjemnością ale także „zaprawą” do solidnej pracy nad utworami rozrywkowymi.

— Czy to znaczy, że nie planuje Pan żadnych zmian?

— Przeciwnie. Ostatnio mam w dorobku utwory, które stanowią trzeci nurt moich upodobań — czysty jazz. Ale — powiedzmy — większego formatu. Na przykład „Tryptyk na kwartet jazzowy i orkiestrę” Jana Ptaszyna-Wróblewskiego, „Concerto pour quartet et orchestra” Guentera Schullera, „Koncert na organy Hammonda z grupą jazzową i dwie orkiestry” Jerzego Miliana, dedykowany Krzysztofowi Sadowskiemu i „Missa negra” Chucho Valdesa.

— Czy te zmiany repertuarowe nie

wymagają zmian w instrumentalnej strukturze zespołu?

— Zasadniczą reformę przeprowadziłem już cztery lata temu, a teraz chciałbym jeszcze wzbogacić orkiestrę o akustyczną gitarę 12-strunową, klawesyn, harfę ze wzmacniaczem i możliwością korekcji, a także aparaturę nagłaśniającą, która umożliwi osiaganie wszelkich efektów akustycznych. Taka aparatura sterowana, powiedzmy nawet, z pulpitu dyrygenckiego przez mnie, dalaby publiczności na sali koncertowej „takie” śmiały efekty słuchowe, jak te, które są osiagane podczas nagrań w studio.

— W polskim prawykonaniu utworu „Missa negra” w Sopocie wystąpił zespół kubańskich muzyków. Jak poradzi Pan sobie z następnym wykonaniem?

— Nie jest to proste. Wprawdzie posiadam niezbędne instrumenty kubańskie, które otrzymałem w darze od Rady Kultury Kubańskiej za prapremierowe wykonanie i interpretację tego utworu na Kubie, ale potrzebni są jeszcze wybitni muzycy — jazzmani. W Polsce mamy takich i na pewno w najbliższym czasie dojdzie do wykonania „Missa negra”. Może w Warszawie, lub w Katowicach?

— Gdyby przyszło Panu określić rolę dyrygenta w zespole, to porównałby Pan ją do koordynatora, który wykorzystuje umiejętności artystyczne muzyków, czy do dyktatora, który podporządkowuje sobie ich indywidualności?

— Czy mogę na to pytanie nie odpowiedzieć?

— Wobec tego inaczej: jaką z cech

dyrygenta uznałby Pan za najważniejszą?

— Cierpliwość.

— Jeśli przestanie Pan ciągle spoglądać na zegarek, to zapytam, czy jest Pan cierpliwy?

— Jak Pani widzi, nie zawsze.

— Gdzie Panu najlepiej się pracuje, na koncercie, przed kamerami telewizyjnymi, czy w studio radiowym?

— Na koncercie.

— Czy nie zastanawiał się Pan nad możliwością nakręcenia serii filmów rozrywkowych z orkiestrą w roli prezentera?

— Pewnie, że się zastanawiałem. Mamy do tego w Łodzi i warunki i umielibyśmy to zrobić. Potrzebny tylko kontrahent: film albo telewizja.

— Co Pan sądzi o współczesnej polskiej muzyce rozrywkowej?

— Mamy kilku wybitnie uzdolnionych muzyków, tak kompozytorów, aranżerów, jak i wykonawców, uprawiających pop-music i soul, a także jazz. Niestety, w większości nasza współczesna muzyka rozrywkowa grzeszy naśladownictwem.

— Czy Pan sam nie próbuje komponować?

— Próbuje. Bez większych rezultatów. Mam za to na swoim koncie około 1.200 opracowań: instrumentacji i aranżacji.

— A czego Pan słucha najchętniej?

— Obecnie? Bo upodobania się zmieniają. Miesiąc temu byłem wprost zakochany w uwerturze „Rok 1812” Piotra Czajkowskiego w wykonaniu orkiestry prowadzonej przez Herberta von Karajana, z pięknym wstępem chóru cerkiewnego a cappella, a teraz w „Czterech porach roku” Vivaldiego.

— Co Pan uważa za swój największy sukces artystyczny?

— To, że jeszcze dyryguję.

— Czy nie ma Pan czasami ochoty cisnąć paleczki dyrygenta i zająć się czymś innym?

— Gdyby to było możliwe...

— Czym wówczas chciałby Pan być?

— Kosmonautą.

Rozmawiała:  
BOGDA MADEJ

## HISTORIA JAKICH MAŁO

Dalszy ciąg ze str. 1

Może Zygmunt coś wiedział, ale nigdy mi nie mówił — powtarzała z uporem, zawsze jednakowo, ilekroć młodzi próbowali czegoś bliższego się dowiedzieć. Jak mogła unikać rozmów na ten temat. Wiedziała już, że Mirek orientuje się w swojej sytuacji. Powiedział jej o akcie sądowym. Słowa wtedy nie odrzekła. Mirek nie nalegał. Biesiakowa miała 83 lata. Ciągle narzekała na rozmaite dolegliwości. Właściwie nie opuszczała łóżka od śmierci męża.

Może za namową żony a może wiedziony intuicją, Mirek postanowił podjąć próbę odnalezienia prawdziwych rodziców. Wbrew dokumentowi, który jasno wskazywał, że będą to bezwzględnie starania. Napisał do „Kuriera Polskiego”. W maju otrzymał odpowiedź:

„W związku z pana listem postanowiliśmy zamieścić ogłoszenie w rubryce „Poszukują swoich bliskich”. Podamy, że poszukuje pan rodziny Zbigniewa Binka i Zofii Binek z domu Nowickiej. Jednocześnie podamy pana adres, aby ewentualne listy mogły być skierowane od razu do pana. Wydaje nam się, że jest to najlepsza droga do uzyskania jakiejś wiadomości w interesującej pana sprawie. Być może zgłosi się ktoś, kto zna adres pańskiej matki”.

Czekał więc. Nie wiedział, że podał tylko właściwe nazwisko swoich prawdziwych rodziców. Ich imiona i nazwisko pańskie matki w rzeczywistości były inne...

\* \* \*

W poniedziałek, 7 czerwca trochę wcześniej wrócił ze szkoły. Ledwie wszedł do mieszkania usłyszał pukanie do drzwi. Otworzył. Nieznajoma kobieta zapytała go — Czy tu mieszka Mirosław Biesiak?...

To była Alina Banasiak z Sosnowca. Niedawno wróciła z Francji. Poznała tam kobietę, która teraz do niej napisała. Pokazała list.

„Ponieważ po moim ciężkim i długim staraniu nie mogę teraz wyjechać do kraju, dlatego zwracam się do pani — po prostu jako jedynej osoby, do której mam jeszcze zaufanie — o pomoc w następującej sprawie. Jak pani zapewne wiadomo, po aresztowaniu mnie, mojego męża i dwóch braci, zostałam wywieziona do Oświęcimia-Brzezinki. W domu pozostał mój 8-miesięczny syn Jerzy. Mój mąż i bracia zostali rozstrzelani w Łasku Olsztyńskim. W czasie, kiedy byłam w Oświęcimiu próbowałam dowiedzieć

się o syna. Powiedziano mi, że on nie żyje. Dlatego też po uwolnieniu, kiedy pozostałam sama, postanowiłam nie wracać do Polski.

Po przyjeździe do Francji zaczęłam poszukiwania i w 1951 roku dowiedziałam się, że mój syn został przegarnięty przez obcych ludzi, którzy może uratowali go od niechybnej śmierci, zaopiekowali się i prawdopodobnie wydał na niego dużo, aby go leczyć. W 1951 roku napisałam do nich z prośbą o informację. Dziecko prawdopodobnie kochało ich jak własnych rodziców. Syn miał już 10 lat. To znaczy, że nie ja go wychowałam tylko tamci, myślę że na pewno zaczęli ludzi. Po rozmowie z konsulem polskim i adwokatem, postanowiliśmy pozostawić syna tam, gdzie jest, aż do pełnoletności, nie przeszkadzając mu w nauce. Nie miałam też wówczas warunków na prowadzenie wieloletnich spraw sądowych. Później pisałam do przybranej rodziny mego syna, chciałam im się jakoś odwdzielić za ich poświęcenie — lecz nigdy nie otrzymałam odpowiedzi. Zwracam się do Pani z prośbą o udanie się możliwie jak najszybciej do X. i od-

szukanie go. Proszę mi napisać, jak on żyje, co robi. Chciałabym mu pomóc jak również jego przybranej rodzinie. Pani dobrze wie, że teraz mamy dobre warunki. Wierzę, że pani jako matka może mi to załatwić”.

PIERWSZY LIST Z FRANCJI

18 czerwca Mirosław Biesiak otrzymał list z Francji:

„Drogi synu, synowo i kochana dzieciarnia, Jerzy!

Proszę wybaczyć, że piszę na maszynie, rozpocząłam już pisać ręcznie, ale ręka mi się trzęsie jak 100-letniej staruszce i nie mogę pisać.

Wy sobie nie wyobrażacie mojej radości, że jednak to prawda i ty, Jerzy, żyjesz. Dla mnie na zawsze pozostaniesz Jerzym. To imię wybrał ci twój ojciec, który kochał cię nad życie i widział cię ostatni raz, gdy miałeś 10 miesięcy.

Wybaczenie, że może ten list będzie pisany nie tak jak powinien być, ale po prostu nie mogę skupić myśli, nie mam po prostu głowy. Jestem

ÓŁKA  
książkami

WOLDENBERG —  
DOBIEGNIWO

Kolejna pozycja w znanej serii „Biblioteka Pamięci Polskiej”. Józef Bohatkiewicz \*) miał łatwe zadanie, pisząc książkę „Oflag II C Woldenberg”. Był to bowiem obóz dość dokładnie opisany, że przypomnę choćby Mariana Brandysa „Powrót do oflagu”. Jest to zresztą oflag najbardziej chyba w Polsce znany. Tak się bowiem złożyło, że spędziło tu wojnę wielu pisarzy i publicystów, co potem owocowało wieloma publikacjami po wojnie.

Dlatego szkoda, że autor nie napomknął choćby o książkach i publikacjach, na temat Woldenbergu, które ukazały się w ciągu minionych lat. Praca Bohatkiewicza nie jest pracą pionierską — szkoda więc, że stwarza to wrażenie pomijając bogatą literaturę na temat obozu.

Dzisiejsze Dobiegniwo było w latach wojny oazą dla wielu tysięcy oficerów. Korzystając z dobrodziejstw Konwencji Genewskiej mieli prawo do bezczynności. Wielu z nich tego okrutnego prawa nie zniszło — poszli na druty, inni ratowali się pracą samokształceniową i twórczą. Tu powstał słynny „Walczący Warszawy”, tu prof. Jerzy Hryniewiecki bawił się w projektowanie znaczków pocztowych, prof. Kazimierz Mielchowski wykładał archeologię... Tu pisali Stefan Flukowski, Edward Fizer, a Stanisław Horno-Popławski rzeźbił i malował... Szkoda jednak, że obecność w Woldenbergu mjr. Henryka Sucharskiego, obrofcy Westerplatte skwitowanego załwie wzmianka, nie sięgając do jego publikacji na łamach obozowej gazetki „Za drutami”. Skoro znalazło się miejsce na drukowanie tekstów piosenek, warto było chyba uwiecznić unikalną relację Sucharskiego o obronie Wybrzeża. Książka Bohatkiewicza jest publikacją ciekawą, niestety, bardzo niepełną. A tak łatwo można było tego uniknąć.

J. W.

\*) Józef Bohatkiewicz, „Oflag II C Woldenberg”, Kłw. Cena 12 zł.



TERESA WOJCIECHOWSKA

## Powrót Henryka VI

Ferdynand Kokl, strażnik lasów królewskich żyje w małym domku z żoną Małgorzatą i synem Ryszardem. W domu ich nie ma radości, bo Ryszard wciąż nie może zapomnieć swej narzeczonej Betsy, którą przed rokiem uwiódł i porwał do Londynu dworzanin królewski. Ojciec stara się wyperswadować mu tę niefortunną miłość, wyrażając niezbyt pochlebną opinię o kobietach:

(...) I byle słówko zmami ją niestety  
bowiem kobiety zawsze są kobiety  
a ty schnij,  
w mur głową bij.

Tymczasem nadchodzi wiadomość, że do lasów ma przyjechać król na polowanie. Jeden z dworzan dostarcza Ryszardowi list od Betsy, w którym dziewczyna pisze, że ucieka z Londynu do domu. Uszczęśliwiony Ryszard biegnie do ojca Betsy — Roberta i postanawiają o swej krzywdzie opowiedzieć królowi...

Znany? Znany. To „Henryk VI na łowach” Wojciecha Bogusławskiego, komedia, która w reżyserii Kazimierza Dejmka wystawiona w 1953 roku, święciła długo sukcesy na scenie Teatru Nowego. I oto „Henryk VI”, po latach najnie spodziewanej powraca do Łodzi, na scenę Teatru Wielkiego. Jako nowa polska opera, której libretto napisał według Bogusławskiego Wojciech Młynarski, a muzykę opracował Jerzy Dobrzański (współautor opery Karola Kurpińskiego („Palac Lucypera”).

Kierownictwo muzyczne tej pozycji objął dr Zygmunt Latoszewski, reżyserię i inscenizację — Kazimierz Dejmek. A więc — Kazimierz Dejmek znów w Łodzi, zawsze ten sam, eksperymentujący, poszukujący w pozycjach starych i zapomnianych nowych wartości, nowych treści. Witamy jego powrót do Łodzi z prawdziwą radością, choć to lata już minęły, nie zapomnieliśmy okresu świetności Teatru Nowego za jego dyrekcji, premier i prapremier, które były wydarzeniem na skalę krajową.

— Można powiedzieć, że przyjechał Pan na występy gościnne do kraju?  
— Można.  
— A właściwie, to gdzie Pan teraz mieszka?  
— W samochodzie.  
— I odpowiada to Panu?  
— Kiedy się ma 18 lat, jak ja, jest to szalenie frapujące.  
— Słyszałam, że miał Pan propozycję objęcia jednego z teatrów w Warszawie?  
— Miałem.  
— I nie zechce Pan powiedzieć którego?  
— Nie.  
— Hm!  
— W każdym razie, niezależnie od rozwoju wypadków, na pewno osiądę w kraju.  
— Cieszymy się. A co i gdzie reżyserował Pan ostatnio?

— W Duesseldorfie — współczesna sztuka amerykańska „Proces przeciwko dziesięciu z Cattonsville” Daniela Berrigana, a później w Essen „Historię o Chwałebnym Zmartwychwstaniu” w niemieckiej wersji.

— Czy z Łodzi znów Pan jedzie za granicę?

— Do Mediolanu, gdzie mam wystawić „La Passione” według anonimowych tekstów włoskich z XII i XIV wieku. Potem wracam jeszcze do Łodzi, żeby przygotować drugą obsadę „Henryka VI”, której wobec przesunięcia się niektórych terminów, nie zdążyliśmy teraz zrobić.

— A w dalszych planach przewiduje Pan jeszcze Łódź?

— No pewnie!

— Czy ma Pan na myśli już jakąś konkretną pozycję?

— Jeszcze nie, ale może „Krakowianów i Górali”?

— Jak ocenia Pan Teatr Wielki, bo przecież po ukończeniu budowy widzi go Pan pierwszy raz?

— Tak, ostatnio pamiętam jak pluskały tu rybki. Widownię ma jedną z najpiękniejszych jakie widziałem, scena jest również świetna. Natomiast zaplecze skandaliczne. Coś w rodzaju szóstorzędnego bloku na głębokiej prowincji.

— Czy zechciałby Pan powiedzieć coś o realizacji „Henryka VI”?

— Zobaczy Pan na przedstawieniu. Poza tym wszystko jest napisane w programie. Teraz zaczynamy już próbę.

Tyle udało mi się dowiedzieć od zawsze mało mównego i niechętnie udzielającego wywiadów Kazimierza Dejmka. Premiera była już blisko, próby zaawansowane. Jeszcze poprawki niektórych scen, jeszcze czelowanie aktorskich szczegółów, jeszcze...

— Proszę państwa, nie rozumiem słów, proszę precyzyjnie artykułować — woła reżyser.

Na zaimprowizowanej estradce, imitującej dekorację, zasiedli za stołem: zabłąkany w czasie burzy przybysz, który później okaże się Henrykiem VI (Władysław Malczewski), Ferdynand Kokl (Stanisław Michoński), młynarz Robert (Antoni Majak), Ryszard (Zbigniew Jankowski) i Małgorzata (Maria Narkiewicz), która właśnie zgłodniałym przybyszom opowiada, co może przygotować na kolację:

Zdarzyło mi się troszeczkę  
przy książęcym uwiłaj stole  
więc przyrzadzę poleweczkę  
co pańskich ząbków nie kole,  
a może waść lubisz małdrzyki  
lub z kwiczołów paszteciki?  
Może jeszcze być karotka  
barszczyk na zajęcych przodkach  
zaś małdrzyki z animelką

zjecie wszyscy z chęcią wielką;  
nie masz jak małdrzyki moje (...)

Przestudiowałam dokładnie libretto. Wydaje mi się, że Wojciech Młynarski miał niełatwe zadanie i że z wszystkich trudności wyszedł zwycięsko. A przede wszystkim udało mu się rzecz najważniejsza: zachowanie stylu epoki, zachowanie stylu Bogusławskiego. 180 lat ma „Henryk VI”, 182 lata „Krakowiaci i Górale”, a przecież ich urok, naiwny nieco wdzięk, patriotyczne treści, które przekazywać musiał nawet w angielskiej scenarii — to wszystko zachowało jeszcze jakąś świeżość, żeby nie rzec aktualność. Był bojownikiem o polski teatr, o polską operę, więc sądzę, że pan Wojciech Bogusławski byłby zadowolony ze spotkania na scenie z panem Karolem Kurpińskim i ze współpracy jaką między nimi nawiązano w Teatrze Wielkim w Łodzi.

Zamyśliłam się, a tu już chór myśliwych wybiera się na polowanie i kończy swoją pieśń myśliwską:

(...) Tu grab tam buk, tu klon tam dąb  
a my na łów przy dźwięku trąb;  
tu dzik tam łos, tu żbik tam lis,  
a my do pełnych mis

cel pał, cel pał, cel pał, cel pał  
jednemu sława, drugiemu żal  
a potem z flaszy gul gul gul  
dziś łowy wiedzie sam król (...)

A potem Kokl, pasowany przez króla na rycerza, z podziwienia wyjść nie może w końcowym recytatywie:

(...) Lat dwadzieścia dźwigałem karabin, służyłem wiernie ojczyźnie, wygrałem kilka bataliów, nie dano mi i feniaka w nagrodę. Datem królowi kwośnego cienkusza i twarde łóżko w komorze — zostałem urzędnikiem wielkim i do tego bogatym. Prawdę widać śpiewał mój bakalarz:

Kto żąda szczęścia od świata  
Niech się do świata stosuje,  
Niech się przemysłem kieruje,  
Niech nie ma względu na brata  
Bo tam, gdzie cenią pozory  
Tam szczerłość niewiele nada  
Intryga idzie do góry  
A zasługa upada.

Tymi słowami Bogusławski żegna swoją widownię. My go witamy w Teatrze Wielkim.



szczęśliwa. Cieszę się, że już jesteś żonaty i masz ładną żonę i dwóch synów. Jakże to przypadek, że Twoja żona ma takie imię jak ja — to znaczy Zofia...

Cieszę się okropnie, że po 29 latach będę mogła cię zobaczyć. Pamiętam jeszcze ostatnie słowa twego ojca, gdy 11 lutego 1942 roku z grupą więźniów politycznych prowadzili go na rozstrzał w Łasku Olsztynskim koło Częstochowy — pamiętaj jak wyjdiesz z obozu o naszym synku...

Wiesz to tak dawno, ale tak pamiętam jakby to było wczoraj. 10 lat temu śnił mi się twój ojciec i od tego czasu wierzę w życie pozagrobowe, gdyż wtedy mówił, że ty żyjesz.

Nie mogę pisać więcej.  
Przeprós swoją żonę, że matka pisze tylko do Ciebie, ale dla mnie będąc dziećmi obydwoje noimi dziećmi  
Całuję was mocno  
mama”.

Teraz niemal codziennie Miroslaw Biesiak otrzymywał listy z Francji. Jego matka pisała: „Problem teraz najważniejszy. Muszę przyjechać do was, muszę was zobaczyć, żyje tylko ta myśl. Ponieważ jednak jestem we Francji na specjalnych prawach, bo otrzymuję pensję z Niemiec za utracone zdrowie w obozie, musisz mi przysłać list i na podstawie tego listu dopiero otrzymam pozwolenie wyjazdu do Polski”.

W innym liście matka mu pisała: „We Francji wyszłam za mąż, bo nie miałam innego wyjścia. Byłam chora, bez pracy i bez żadnych środków do życia. Mój mąż jest dobrym człowiekiem. Zawsze podtrzymywał mnie przy nadziei, że ty żyjesz. Mamny córke, która ma 25 lat i jest hostesą w kompanii amerykańskiej TWA. Mieszka w Paryżu. Lata samolotami tej kompanii po całym świecie. Bardzo się ucieszyła na wiadomość, że ciebie odnalazłam: Ja pracuję jako urzędniczka w biurze turystycznym, które załatwia wyjazdy do Polski”.

... \* \* \*

O tym, że jej syn żyje Zofia Binek-Nowak dowiedziała się od siostry swojej matki, która po wojnie znalazła się w Szwecji.

Nawiązały kontakt w 1950 roku. Ciotka powiedziała jej, że po aresztowaniu całej rodziny zabrala małego do siebie do leśniczówki koło X. Jej mąż był leśniczym.

W 1944 roku hitlerowcy aresztowali leśniczego i jego żonę, za współpracę z Armią Krajową. Ciotka przeżyła wojnę, ale na skutek tortur w gestapo straciła obie nogi. Jej mąż został rozstrzelany. O dzieciach nie ma po dziś dzień żadnych wiadomości. W jaki sposób Jerzy trafił do Biesiaków — nie wiadomo.

Ci, którzy mogliby powiedzieć o tym, już nie żyją. Stara Biesiakowa nie chciała o tym mówić. Powtarzała w kółko, że ona nie wie, że wszystko jej mąż załatwiał. Sąsiedzi różne wersje opowiadali. Być może naprawdę Biesiakowie zabrali chłopca do siebie, wierząc, że po wojnie otrzymają za to nagrodę. Później jednak — jeśli nawet przyjął tę wersję za prawdziwą — przywiązali się do małego. Na pieniądzech im nie zależało, bo je mieli. Byli bezdzietni, więc adoptowali

chłopca. Na listy z Francji woleli nie odpowiadać, wszystko przed Mirkiem ukrywając...

Z Biesiakowej nie można było na ten temat słowa wydobyć. Teraz gdy już wszystko wyszło na jaw, prawie się nie odzywała do przybranego syna i jego żony. Nawet nie reagowała na przysyłane dla niej lekarstwa z Francji. Wiedziała, że wkrótce ma przyjechać matka chłopca, którego wciągnęła nazywała Mirkiem a on nadal zwracał się do niej: mamo, nie czyniąc jej żadnych wyrzutów...

Choć były wakacje, młodzi nigdzie nie wyjechali. Wysłałi tylko dzieci do rodziców na wieś. Jeździli tam w soboty i wracali w niedziele. Opiekowali się Biesiakową, która nie wstawała z łóżka skarząc się na coraz to nowe bóle i dolegliwości.

Już tylko tydzień został do zapowiedzianego terminu przyjazdu matki Jerzego. W niedzielę wieczorem wracali ze wsi. Już na podwórzu zwrócili uwagę, że w oknach mieszkania jest ciemno.

Drzwi nie dały się od razu otworzyć. Gdy wreszcie weszli do wnętrza, zobaczyli, że Biesiakowa się powiesiła. Lekarz stwierdził, że zgon nastąpił 5 godzin wcześniej. Sekcja zwłok wykazała, że organizm miała zdrowy i mogła jeszcze długo żyć...

4 września na warszawskim Okęcu odbyło się pierwsze po 30 latach spotkanie matki z synem. Długa chwila stali jak skamieniałi, nim rzucili się sobie w objęcia. Tuląc głowę Jerzego matka szepotała — synu, taki jesteś podobny do swego ojca.

W najbliższym czasie bohater tej historii wybiera się wraz z żoną i dziećmi do Francji. Matka chce mu kupić samochód. Nosi się też z zamiarem powrotu na stałe do kraju. Ma już bowiem 53 lata i wkrótce przejdzie na rentę. Projektują kupno domku w okolicach Krakowa.



KAZIMIERZ GWIZDKA

# IGRZYSKA

## W AUSCHWITZ - BIRKENAU

Lato 1944 roku, było niemiłosiernie.

Czyste słońce — prażyło pełnym blaskiem tarczę, lejąc szczerze strugi zyciodajnego światła na splamioną i umęczoną ziemię.

Złote promienie, wdeptywane podkutymi buciorami hitlerowców, ginęły razem z ludźmi w mokradłach oświęcimskich łąk i rozległych bagnach Brzezinki. Zmieszana z krwią i popiołami ziemia stapała się od gorąca na skalistą grudę. Parne i duszne powietrze — falujące nad resztkami traw w konwulsyjnych drgawkach, targane podmuchami zaru, unosiło kłęby oliarnego dymu.

W rozszalałych tyglach krematoriów przetapiano ludzkie życie. Auschwitz-Birkenau zionął og niem... Lawą popiołów...

Miasto umarłych XX wieku. Zamiast fortecznych murów — nowoczesne ogrodzenie z elektryczną pułapką, nocą iluminowane tysiącami świateł. Prostokątna siatka ulic z głównymi arteriami — dzielącymi to miasto na dzielnice I, II, III i rejony A, B, C, D, E, F, G... System odwadniający z głównym kolektorem, zwany — „Królewskim” (Königsgraben). Wodociąg (Wasserversorgung).

Liczne budynki (Pferdestallbaracken) stajnie dla koni — tu, dla ludzi — którzy z wytatuowanymi numerami, jak konie mechaniczne, stawali się tylko roboczą siłą; kuchnie, magazyny, apełowe place przed każdym blokiem. Bramy i wieżyczki dla straży, koszary dla SS — „gladiatorów” i koszary (Hundestaffeln) dla rozwścieczonych wilczurów. Nowożytni inżynierowie III Rzeszy „szczytnie” zapisali się w historii wybudowaniem gigantycznej rampy kolejowej i schodami do COLOSSEUM ŚMIERCI — z wielkim FORUM dla zmasowanych turystów, oczekujących tu na selekcję, przewidzianą w specjalnym rozkładzie jazdy Deutsche Reichsbahn. Spragnionych podróżnych zapraszano do ATRIUM na „orzewiającą kąpiel”, podczas której podawano CYKLONIUM-B. Hitlerowscy kulturtregerzy nie przeoczyli niczego. Na „dworcu” zatrudniano lekarzy, fryzjerów, ba — nawet dentystów. Bagażowi — których tu nazywano „Canadyjczykami”, wypełniali swoją powinność bez zarzutu.

Dziwna i zagadkowa była to stacja... Budynek dworcowy ustawiony w poprzek toru z wielką „tryumfalną” bramą wjazdową.



Rys. E. Ingot

Na całym świecie, nawet najmniejsze przystanki kolejowe są budowane równoległe do torów i mają napisy z nazwą miejscowości. Ten dworzec był bezimienny. Nie zdobył go nawet najskromniejszy szyld na peronie. Stacja nie miała semaforów, charakterystycznej sylwetki — znanej nawet dziecku — znaku, na który niecierpliwie zerkają podróżni w oczekiwaniu dalszej jazdy.

Czas wojny — mógł usprawiedliwiać nagłe wysiadanie wszyst-

kich pasażerów. Można się było spodziewać wszystkiego: zerwanego mostu, wykojenia, czy też innej przeszkody zakłócającej normalny ruch pociągów.

Baczny obserwator mógł zauważyć, że dalej nie ma jednak toru... że stała się KATASTROFA... że tory są zerwane...

Może trochę — podczas manewrowania lokomotywy — uspokajały rozjazdy i obracające się latarnie na przekładniach? Różne przypuszczenia pchały się do gło-

wy każdemu, kto się tu znalazł po raz pierwszy. Ważne było to, że wszyscy na razie są cali i żywi...

A później — ta groteskowa pruderia panów oficerów SS, aby nie było zgorzienia podczas kąpiei. Tylko małym chłopcykom pozwalano na kąpiel razem z matkami. Starszym chłopcom wmawiano, że są przecież mężczyznami, że takim dostojnym kawalerom — to już nie wypada.

Podróżni wcale się nie domyślali, że jest to OSTATNI PRZYSTANEK... w ich życiu. GRANICA. Wiekuisty szlaban, którego nikt nie podniesie.

„Celnicy” zjawiali się nieco później. Byli bezpardonowi. Rewidowali bardzo dokładnie. Rwali złote zęby. Lamali palce. Martwi pasażerowie nie ukrywali niczego. Złoty kruszec — płynął potem do banku w Berlinie.

„Szczęśliwcy” odwołani w czasie selekcji na rampie, poznawali później działanie tej gigantycznej maszyny zbrodni.

Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau budowano z wielką, niemiecką dokładnością. Zaplanowano wszystko tak, aby nikomu niczego nie brakowało. Standard był „wysoki”. Wody było pod dostatkiem, szczególnie tej — po kolana i jeszcze wyżej — podczas kopania systemu kanałów okalających każdy z sektorów obozu. Jej nadmiar — przelewał się z głównego kolektora przez służę do pobliskiej Wisły, ale tylko wtedy, gdy na rzece był niski poziom wody.

Można było tą wodą z rowów ugasić pragnienie raz na zawsze... Jeden łyk — wystarczył do końca życia. Kto nie wierzył, płacił „gapowe” najwyższą stawką. „Experto crede” — mawiali starzy Rzymianie — ale tutaj nikt tego nie umiał przetłumaczyć, aczkolwiek „laciną” posługiwano się na co dzień i była ona czymś w rodzaju esperanto.

Co za „wspaniała” elektryfikacja! Elektryczność — nie brakowało. Płynęła wzdłuż całego ogrodzenia, zdradziecko ukryta w kolczastym drucie. Można ją było brać pełnymi garściami, ale — „dobrzy” gospodarze — specjalnymi ostrzeżeniami zalecali nam oszczędność, aby się przypadkiem podczas chwilowych rozmyślań nie polakomić „wolnością”. Nawet nie rozumiejący napisów niemieckich HOCHSPANUNG — LEBENS-GEFAHR, patrząc na trupią główkę nad skrzyżowanymi puszczelami — rozumieli, czym „pachnie” pajęczynka z drutu, misternie rozwieszona na białych izolatorach.

Trzeba przyznać, że napisy: WYSOKIE NAPIĘCIE — NIEBEZPIECZENSTWO DLA ŻYCIA, były umieszczone z wielką „troską” o nas, żeby się nam przypadkiem coś złego nie przytrafiło. Czyż można zapomnieć o tak „dobrej” opiece?

W obozie był to chyba jeden uczciwy napis.

Ileż bowiem ironii mieściło się w innych codziennych przykazaniach: „Halte dich sauber” — Utrzymuj czystość, „Achte deine Vorgesetzten” — Szanuj zwierzchników, albo „Eine Laus — dein Tod” — Wesz — to twoja śmierć.

Można było dostać kompletnego „kręcka” w tym „wesołym miasteczku”. Istny cyrk, zwierzyniec — szkoła błaznów, bezceństwa i okrucieństwa. Akademia „mistrzowskiej” tresury i pruskiej dyscypliny koszarowej — „Links, links, links und links”, „Los!”, „Bewegung!”, „Mützen ab! — Mützen

auf!”, „Weitermachen!”, „Im Laufschrift!”, w głowie wirowało — jak na karuzeli. A później — do domu, w liście — płynęła „beztroska” wieść: „Ich bin gesund und fühle mich gut”.

Wszystko, co się działo w obrębie tzw. „Lagergebiet”, to jest na obszarze obozu i wokół niego, miało być wielką tajemnicą i sprawą państwową — Geheime Staatssache. Zbrodniczy akt masowego ludobójstwa miała osłonić „noc i mgła” — Nacht und Nebel.

Ale żadnej zbrodni ukryć się nie da. Nawet najmniejszej. Fakt — pozostaje faktem.

Jako świadkowie i jako kolejne ofiary „przysądzone” na stos albo pod ścianę śmierci — byliśmy jednocześnie powiernikami wielkiej tajemnicy ludobójstwa w Auschwitz-Birkenau. Dlatego do wściekłości i szatu doprowadzali oprawców z Politische Abteilung śmiało i udane ucieczki więźniów oraz organizowane akcje obozowego Ruchu Oporu. Ale opowiadaniem uciekinierów nie dawano wiary. Przypuszczano, że fantazują, że swoje głowy przystrajają laurowymi liśćmi.

Do obozu ciągle napływały nowe transporty, nowe „zugi”.

Wynoszone przez kolejnych uciekinierów wiadomości o obozie i wysyłane nielegalną drogą grypsy — swoją treścią napawały trwogą, potwierdzały to, co nie mieści się w ludzkim umyśle.

Operacja masowych zbrodni, dokonywana w „białych rękawiczkach” i w „sterylnych” warunkach całkowitej izolacji od reszty świata, przybierała coraz większe rozmiary. Poszukiwano nowych i tanższych rozwiązań poszczególnych kwestii. Zbyt drogo kosztowały III Rzeszę pojedyncze przetrzasy w tył głowy, stosowane przez Palitscha i innych oprawców pod Ścianą Śmierci na bloku 11. Do pomocy zaprzęgnięto najnowsze rozwiązania techniczne gazowania ludzi i szybkiego spalania ciał. W sukurs, przysłała — oddana Führerowi niemiecka nauka, stawiając do dyspozycji kwas pruski — cyjanowodór — o handlowej nazwie ZYKLON-B.

Widok samochodu — karetki ze znakami Czerwonego Krzyża, miał działać i działał uspokajająco. Nikomu z przyjeżdżnych do głowy nie przyszło, że międzynarodowy znak jest tu tylko parawanem, za którym kryją się ukryte puszki ze śmiertelnym gazem. Czyż można było niedowierzać, kiedy na rampie wypytywano o chorych i starców, aby „do kąpiei” podwieźć ich samochodami, kiedy „uprzejmi” SS-mani pomagali im wejść, podsadzając na otwartą z tyłu skrzynię wozu?

Świat nie chciał uwierzyć w to TEATRUM ŚMIERCI. To było nie do wiary.

Lata Olimpijskie 1940 i 1944 przyniosły hitlerowskiemu Niemcom — Trzeciej Rzeszy — wielki sukces. Pełne zwycięstwo w nowej dyscyplinie LUDOBÓJSTWO. Krzyżacy XX wieku spod znaku swastyki zajęli wszystkie miejsca na podium. Olimpijczyków zbrodni — zamiast medali — ozdobiły rycerskie krzyże z mieczami i brylantami. Ryczące fanfary niosły światu dziką pieśń nowożytnych Hunów — „Deutschland, Deutschland über alles”.

Ludzkość została splamiona straszliwą hańbą.

Tej plamy historia nie wywabi. W Oświęcimiu — na Stadionie Śmierci — płonie wieczny znicz PAMIĘCI!

MICHAŁ DALECKI

## Madonna deszczu

Przemyka między gałązkami deszczu warkot gromu otwiera korzenie drobny ślad pośpiechu niesie strach o suchą koszulę —

O na wielosłowna jak gest jak błysk nagły jak ścieg noża na wiotkim przegubie —

zawraca niespokojne strugi otwiera się skwapliwie do krzyku w zachwycie wygłodzonej krtani —

Madonna deszczu kaskada przypadkowej ulewę splukana do ostatniej nitki jedwabnej koszuli.

## Poza wiersza

Znowu ma się na burzę skąd te wiatry gdy ćwiczą w szkółkach że ziemia kulą lub jabłku podobna — ten owoc dzielony na części: komu miąższ komu pestki komu zapach — wybieram zapach — może sam do działu i z takim prawem jak do tego wiersza nim się od słowa jak od ziarna począł ...teraz już tylko udaje retora.

JAN BOLESŁAW OZÓG

## Deszcz

Las — i kula dzwoni w ucho, becicka deszczu leje się na plecy. Szkopy w koło, ciemny świt i plucha.

Wodą noc obmyła trupy — i deszcz znowu z krwią od rannej zorzy. Nie dowlęczesz się już do chałupy.

Cięży wściekle olów głowy i po lufie gorącej od ognia jak éma mknie skręcony liść brzozy.

Strzelanina, psia pogoda — głodny las — i śmierć — i kraczą wrony. Muł dokoła, kule, krew i woda.



# Z WIZYTĄ W TEATRZE „WYBRZEŻE“

Niedawno odbyła się w Gdańsku uroczystość, która Łodzi wprawdzie bezpośrednio nie dotyczy, może jednak zainteresować łódzkich miłośników teatru. 20 listopada Teatr „Wybrzeże“ święcił jubileusz 25-lecia. Od chwili wybuchu drugiej wojny światowej Wybrzeże Gdańskie nie miało teatru stałego. Czynnikiem wprawdzie w dwudziestolecie międzywojennym i zaraz po wojnie w 1945 roku, próby zorganizowania stałego teatru zawodowego w Gdyni, ale bez powodzenia. Kroniki Wybrzeża jednogłośnie stwierdzają: twórcą stałego teatru na Wybrzeżu jest Iwo Gall.

Nazwisko Gall'a nie jest Łodzi obce. Jego trzyletnia dyrektura (1949—1952) w Teatrze im. S. Jaracza wyznaczyła mu określone miejsce w historii naszego miasta. Okres działalności Gall'a w Łodzi nie sprzyjał teatrowi poetyckiemu, teatrowi umowności i „bieli“, z pewnością jednak w pamięci łódzkiej publiczności zostały inscenizacje „Marii Stuart“ J. Słowackiego, „Wiśniowego sadu“ A. Czerwaka, „Wieczoru

trzech królów“ W. Szekspira. Do Łodzi przybył Gall właśnie z Wybrzeża, gdzie przez trzy sezony (1946—49), wspólnie z zespołem przez siebie wychowanym w krakowskim Studio Dramatycznym (1945—46) zorganizował stały teatr. Reżyser, scenograf i pedagog w jednej osobie tworzy na Wybrzeżu teatr, który zwraca uwagę całej Polski. Inszenizacje: „Homera i Orchidei“ T. Gajcego, „Jak wam się podoba“ W. Szekspira, „Balladyna“ J. Słowackiego, „Wesela“ S. Wyspiańskiego — stają się wydarzeniami teatralnymi. Jednocześnie, są najpełniejszą realizacją gallowskiej koncepcji poetyckiego teatru „Białej Sciany“. Jako pedagog wykształcił Iwo Gall aktorów, z których wielu cieszy się dzisiaj tak wielkim uznaniem i popularnością, jak: Barbara Krafftówna, Renata Kossobudzka, Ludwik Benoit, Maciej Maciejewski, Bronisław Pawlik. Jubileusz Teatru „Wybrzeże“ obliśnie do przypomnienia Gall'a, który należy do pokolenia Leona Schillera i Juliusza Osterwy, jest jednym z wy-

bitnych twórców polskiego teatru współczesnego. Teatr „Wybrzeże“ ma więc szczególny powód do dumy.

Zespół Teatru „Wybrzeże“ uczcił swoje święto premierą sztuki Tadeusza Gajcego „Homer i Orchidea“, której prapremierą Iwo Gall inaugurował przed 25 laty działalność gdańskiej sceny. Widzowie mogli podziwiać w roli wróżki Euryklei Izabelę Wilczyńską. W gallowskiej inscenizacji grała ona Kreuze. Na widowni zaś, wśród publiczności mogliśmy dojrzeć Zofię Perczyńską, pierwszą odtwórczynią roli Orchidei.

„Homer i Orchidea“, to dramat o losie poety, o losie „wybranego“. U jego podstaw leży fatalistyczne przeświadczenie o nieuchronności losu i niemożliwości walki z przeznaczeniem. Poeta wypędzony z rodzinnej wioski, oślepiony z woli bogów, po latach tułaczki ma szansę powrotu na Chios. Jest jednak bohaterem tragicznym ze swoją beznadziejnością wobec przeznaczenia. Jest w nim równocześnie i coś z romantycznego poety — wędrowca, tułacza. W tym też chyba kierunku, jak wolno nam przypuszczać, szła interpretacja Gall'a.

Dramat Gajcego, jakkolwiek dzięki inscenizacji Gall'a zyskał rozgłos, napisany przez młodego poe, budzić może w lekturze wiele zastrzeżeń. Razi tu nikłość dramatycznej akcji, drażni naiwność w budowaniu postaci, denerwuje naiwność języka. W realizacji scenicznej wiele jednak zyskuje a poprzez swoje niedopowiedzenia i poetycką wieloznaczność daje możliwość różnych interpretacji. Dowodem może być łódzka inscenizacja Józefa Wyszomirskiego z 1947 roku, czy ostatnio gdańska —

Zbigniewa Bogdańskiego (prem. w Teatrze „Wybrzeże“ 20.XI.1971). Homera granego tu przez Jerzego Kiszkisa darzy widz w pierwszych scenach sympatią. Młody Homer jest wzruszający w swoim zagubieniu, wśród realiów włoskiego życia, w swojej niepewności poety i prawie dziecięcych reakcjach na wspomnienie okrutnej Melei, która objawiła mu los. Nie budzi jednak współczucia ani też nie zmusza do refleksji nad losem „wybranych“ w roli Homera — starca. Wydaje się, że aktor zagubił tu poe i siebie. Błąd inscenizatora zaś polega, jak się wydaje, na tym, że miast uczynić z postaci Homera ponadczasowy symbol, wprowadził w końcowych scenach ukonkretnione poprzez sztuczność peruki i makijażu — konwencjonalne wyobrażenie starca — ślepcę. Podobnie rzecz się ma i z Orchideą, którą gra Teresa Kaczyńska. W pierwszych scenach jest osobą dojrzałą od Homera, w dziewczęcy jednak sposób kapryśną i zazdrosną. Kontrast między młodą Orchideą a młodym Homerem jest wyraźnie ostry, takie rozwiązanie mogłoby stać się interesujące, gdyby przeprowadzone zostało konsekwentnie do końca. W scenie w Atenach Orchidea jest zniszczoną przez tułaczkę staruszką, co podkreśla, podobnie jak u Homera, peruka i makijaż a także kostium. Kontrast między postaciami dramatu zatarł się a realizm uczynił z nich sztuczny obraz ludzkiej starości. Śmierć Orchidei nie ma już w tej sytuacji większego znaczenia.

W omawianej realizacji scenicznej, wysuwa się na plan pierwszy problem: jednostka a społeczeństwo; mniej ważny pozostaje problem: jed-

nostka „wybrana“ (poeta) a określona, nie rozumiejąca „wybranego“ społeczeństwo. Wydaje się, że takie przemieszczenie ciężaru znaczeniowego, odbyło się chyba ze szkoda dla dramatu, który przecież nosi wyraźne cechy dramatu poetyckiego. W sukurs przychodzi tu jednak scenografia Jadwigi Pożakowskiej. W scenie pierwszej — spotkanie Homera z Orchideą — linię horyzontu słonecznej i błękitnej przestrzeni przecina pas rybackich sieci. Jest jasno i pogodnie tak, jak beztrojska i wesola jest Orchidea. Jedynie w paludamentach sceny brunatna sieć zwiastuje niepokój. Scenę w Świątyni Słonecznego charakteryzuje tajemniczość. W centrum sceny ustawiono obrzydliwy posąg groźnego bóstwa. Światło wyciemnione, sinawocielone lamie jedynie plomien palących się świec. Postacie wróżki i kapłana przesuwają się wśród kolumn świątyni cicho i niebezpiecznie. Dokonacja i światło zmieniające się wedle zasady przyjętej w pierwszej i drugiej scenie, staje się źródłem swoistej rytmizacji widowiska. Jest to chyba najciekawsza strona gdańskiej inscenizacji.

Wybór „Homera i Orchidei“ przez teatr, który ma w swoim repertuarze tak awangardowe propozycje, jak: „Malańka Alicja“ E. Albeego, „Ulisses“ J. Joyce'a — M. Słomczyńskiego, „Termopile polskie“ T. Mićńskiego — może wydawać się przedsięwzięciem „ryzykownym“, broni go jednak nasz polski sentyment do autora, okupacyjnego poety, którego los spełnił się już w młodości, i choć uczczenia pamięci Gall'a założyciela Teatru „Wybrzeża“.



## CZŁOWIEK ZMIENIA OBLICZE ZIEMI

Od zarania swego istnienia człowiek trudził się nieustannie, by zmienić wszystko, co znajduje się w zasięgu jego ręki lub skonstruowanych przez niego aparatów i urządzeń. I nie może postępować inaczej, jeśli chce żyć i chce się rozwijać. W porównaniu z ogromem maszyn ziemskiej jest zaledwie drobnym pyłkiem, a mimo

to jego działanie jest bardziej skuteczne, niż potężnych sił przyrody. Tylko w samej zewnętrznej strefie Ziemi na jednego człowieka przypada co najmniej pięć miliardów ton masy skalnej. Nie wydaje się prawdopodobne, by mógł je jakoś przesunąć, czy zmodyfikować, podobnie jak mrówka nie jest w stanie zmienić kierunku jazdy pędzącego pociągu.

A jednak... Miliardy kilometrów kwadratowych Ziemi zmieniło, i zmienia, swoją szatę roślinną, miliardy ton materiału skalnego wędrują nieustannie z miejsca na miejsce, zmieniając przy tym swoją strukturę fizyczną i chemiczną. Morza, rzeki i oceany doznają przeobrażeń, jakich nie dokonały miliony lat w przeszłości.

Mikroskopijna i krucha istota ludzka, dzięki rozumowi i tworzonemu przez siebie narzędziom pracy, staje się potężną siłą twórczą, ale i dewastacyjną zarazem. Czy w ostatecznym rachunku przeważa konstrukcja nad de-

strukcją, będzie zależało od wielu spraw ludzkich, głównie od zwycięstwa rozumu nad głupotą, zawiścią i chciwością.

Tym i podobnym kwestiom poświęcił swoją nową książkę profesor Uniwersytetu Łódzkiego, doktor hab. Tadeusz Olszewski. Rzadko ukazuje się tak „idealnie“ na czasie publikacja, jak wspomniana praca T. Olszewskiego „Człowiek i jego środowisko“.

Sprawy i relacje społeczne i środowiska naturalnego pasjonują się i politycy na miarę światłowa, i planiści w miastach powiatowych, i ludzie szukający po ciężkiej pracy w fabryce wytchnienia w ogródku działkowym. Czym trapią nową książką Tadeusza Olszewskiego? Przede wszystkim głębokim i zarazem racjonalnym humanizmem. Choć rozprawa ma charakter poważnego studium naukowego, przewija przez nią fabuła jednoznacznie nazwanego bohatera: człowieka ujarzmiającego Ziemię. W swych promiennych wysiłkach zdobywa się on na ogromne o-

siągnięcia, ale popełnia też wiele błędów. Mógłby z Ziemi uczynić planetę mlekiem i miodem płynącą, niestety, zbyt często, i w zbyt wielu miejscach, rodzi mu ona ciernie i osty. Miejsca pod Słońcem starczy dla miliardów ludzi ze wszech miar sycych, a przecież setki milionów nie dojadą, źle mieszka. Autor usiłuje nazwać przyczyny tego zła po imieniu, szukając równocześnie dróg wiodących ku

lepszemu przyszłości. Widać, że i proponuje sposoby ich wykorzystania. Praca T. Olszewskiego jest dość obszerna. Jednak jasny i logiczny układ, potoczny język, liczne diagramy i wykresy ułatwiają jej lekturę. Jednocześnie konstrukcja pozwala na ewentualny wybór rozdziałów, jeśli czas i zainteresowania nie pozwalają Czytelnikowi na zapoznanie się z całością. Książkę tę należałoby uznać za niezbędną dla nauczycieli i wychowawców od przedszkoli, aż po uniwersytety, dla planistów, urbanistów, polityków i wszystkich obywateli, świadomie określają-

cych swój stosunek do świata zewnętrznego.

Tadeusz Olszewski, CZŁOWIEK I JEGO ŚRODOWISKO, wyd. PZWS w Warszawie, 1971.

## FRANCUSKA MONOGRAFIA TWÓRCZOŚCI WITKACEGO

Nakładem Ilońskiego wydawnictwa L'Age d'Homme ukazała się w sierpniu br. — jako kolejna pozycja serii „Slavica“ — obszerna, 385-stronicowa monografia twórczości dramatycznej Witkacego pt. S. I. WITKIEWICZ AUX SOURCES D'UN THEATRE NOUVEAU. Jest to praca doktorska belgijskiego sławisty Alain van Crugtena, pisana pod kierunkiem prof. Claude Backvissa na uniwersytecie w Brukseli. Dwa pierwsze rozdziały, poświęcone biografii Witkacego i charakterystyce literatury Młodej Polski oraz dwudziestolecia międzywojennego, napisane były zapewne z myślą o czytelniku francuskim, ale mimo popularyzacyjnych założeń autorowi udało się

tutaj uniknąć rażących uproszczeń i trafnie wyeksponować te sprawy, które zaważyły na twórczości Witkacego. W rozdziale trzecim zrekonstruowane zostały poglądy historyczno-filozoficzne i estetyczne autora „Kurki Wodnej“. Omawiając szczegółowo teorię Czystej Formy w teatrze autor konfrontuje ją z programami awangardy teatralnej na Zachodzie (ekspresjonizm, A. Artaud). Następnie van Crugten klasyfikuje wstepujące w dramatach Witkacego typy bohaterów i stawia tezę, że w osobowości wielu z tych postaci odbiły się cechy i kompleksy psychiczne samego Witkiewicza. Daje to autorowi podstawę do inspirowanych teorią Freuda rozważań — nieraz zbyt ryzykownych — na temat osobowości Witkacego. Trzy osobne rozdziały wypełnia analiza takich problemów Witkiewicowskiej dramaturgii, jak tematy poszczególnych sztuk, ich styl i technika dramatyczna oraz ukształtowanie języka. Pracę zamyka rozdział, w którym autor, zastanawiając się nad miejscem Witkacego w historii

teatru, podkreśla jego rolę, jako prekursora polskiej i zachodniej awangardy teatralnej.

Praca A. van Crugtena jest solidnie i bogato udokumentowana, rzetelna w analizach, a autor zadziwia często erudycją i dobrą znajomością historii naszej kultury. Co prawda dla polskich wśkaczkologów nie przynosi ona nowych tez i rozwiązań, bo autor dość wiernie postępuje za takimi badaczami, jak Błoński, Puzyna, Kłosowicz i in., ale nie z tego punktu widzenia należy ją oceniać. Można bowiem mieć nadzieję, że książka odegra przede wszystkim istotną rolę w recepcji Witkacego na Zachodzie i że w zasadniczy sposób zmieni ona utrwalony w wielu artykułach krytyków i tłumaczy obraz Witkacego — alkoholika, narkomana i szaleńca. A rangę jej podnosi fakt, że jest to w ogóle pierwsza monografia poświęcona twórczości tego pisarza.

J. D.

## Przeszłość i terażniejszość

Profesor amerykańskiego uniwersytetu Georgia Z. J. Gąsiorowski ogłosił na łamach brytyjskiego periodyku „The Slavonic and East European Review“ (Nr 116 z lipca 1971), organu „School of Slavonic and East European Studies“ uniwersytetu londyńskiego, obszerną pracę, w której przytoczył wyciągi z raportów amerykańskiego przedstawiciela dyplomatycznego w Warszawie z lat 1919—1924, Hugh Simons Gibson'a (1883—1954). Ich autor nie był na pewno Polsce niezwykły, polski minister spraw zagranicznych w rządzie W. Grabskiego Eustachy Sapieha uważał go nawet za jej „wielkiego przyjaciela“. Ma jednak rację amerykański historyk, kiedy powiada, że nie był przyjacielem bezkrytycznym, a słuszność tego stwierdzenia znakomicie potwierdzają teksty jego raportów. Wynika z nich, że H. Simons Gibson miał wcale niełatwe kontakty w Warszawie, zwłaszcza w kregach niechętnych J. Piłsudskie-

mu, choć bynajmniej nie lewicowych. Sam poseł prezydentuje się zresztą jako osoba o poglądach więcej niż zachowawczych...

Raporty Gibsona przynoszą oprócz obserwacji o zagadnieniach wojskowych i politycznych obszerne charakterystyki czołowych osobistości polskiego życia politycznego w początkach lat dwudziestych. Na czoło wysuwają się tutaj sprawozdania z osobistych kontaktów posła z Piłsudskim oraz charakterystyki jego osoby. Są one dalekie od entuzjazmu, ba, nieraz bardzo surowe, niechybnie inspirowane przez politycznych przeciwników marszałka, niejednokrotnie jednak celne.

Dnia 5 października 1920 r. Gibson donosił swemu rządowi: „Najważniejszą cechą osobowości Piłsudskiego jest bez wątpienia egotyzm, w szczególności co się tyczy spraw wojskowych. Należy pamiętać, że nigdy nie uczył się on dowodzenia wielkimi jednostkami, ani nie studiował nauki wojennej. Jedna-

kowo każda krytyka, nawet najłżejsza, jego działań wojskowych wystarcza, by uczynić go dozągnym wrogiem krytykującego. Z drugiej strony nie widać, aby starał się on opanować swoje pretensje w stosunku do czysto politycznych przeciwników, jak widać to w aktualnych stosunkach między

Sosnkowskiego i nawet nie komunikowano ich gabinetowi. W rzeczywistości, zamiat by składało się z jego odpowiedzialnych ministrów, jego otoczenie stanowi niemal w całości wojskową kłkę. Na nieszczęście dla niego i dla Polski jest on otoczony przez grupę nie znaczących i głupich mło-

## W oczach amerykańskiego dyplomaty

W nim a ks. Sapieha, jego (!) ministrem spraw zagranicznych. Ma bardzo niewiele zaufanych i rzadko powierza im swoich planów. Jego zastępcą, do którego ma on największe zaufanie, wydaje się być gen. Sosnkowski. Wiele najważniejszych decyzji, w szczególności co się tyczy wojny i pokoju, było — jak powiada — podejmowanych przez Piłsudskiego i

dych ludzi, którzy jawnie napawają się swą rolą dworaków. Jak wiadomo, nie ma ani jednego wśród nich, który chciałby zaryzykować niezadowolenie swego wodza, nie zpadając się z nim, czy mówiąc mu oczywiste i konieczne (do oznajmienia) prawdy. Atmosfera pałacu belwederskiego jest podobna do otoczenia jakiegoś środowisko-amerykańskiego prezydenta: zabawna dla obser-

watora, demoralizująca dla centralnej postaci i zębna dla kraju“.

W raporcie z 8 czerwca 1922 r. czytamy: „Gdy przybył po raz pierwszy do Polski ponad trzy lata temu, było wiadomo, że Naczelnik Państwa jest mocno zachłyśnięty swoim świeżo uzyskanym znaczeniem i że jest podatny na pochlebstwa swojego otoczenia, które stara się go sobie pozyskać, wychwalając jego dyplomatyczne, polityczne i wojskowe zdolności w fantastycznych słowach. Otaczająca go świta, w całości małego kalibru, starała się stopniowo odizolować go od kontaktów ze społeczeństwem — które mogłyby skorygować jego poglądy i informować go o tym, co się rzeczywiście dzieje — i w ten sposób został on pozostawiony wyłącznie szkodliwemu oddziaływaniu pochlebstwa, co przez upływione trzy lata dało znaczące rezultaty. Widywałem go od czasu do czasu i stało się dla mnie całkowicie jasne, że ma on coraz to świetniejsze mniemanie o własnych talentach, że umocnił wiarę w swą gwiazdę przez to, że

różne awantury, w które się udawał, w większej części obróciły się mu na korzyść i że nikt go nie pokonał, podczas gdy inni przywódcy polityczni przychodzili i odchodzili, jak Paderewski, Witos i reszta“.

Pod koniec raportu amerykański poseł tak charakteryzował rolę Piłsudskiego w początkach niepodległości: „Jestem przeświadczony, że jeśliby zwolniono temu narodowi cugle w pierwszych dniach istnienia republiki, mielibyśmy w Polsce stan zbliżony do bolszewizmu, z szeroko rozprzestrzenionymi wywłaszczeniami i nacjonalizacją własności, przesładowaniami klas uprzywilejowanych i zastosowaniem tych wszystkich politycznych lekarstw, które radykalni agitatorzy pragnęli zaprowadzić w odradzającej się Polsce. Marszałek Piłsudski, jak mi wiadomo, wywarł wielki nacisk, aby skłonił swoich radykalnych przyjaciół (!) do uspokojenia niecierpliwości, a rezultatem tego było ocalenie Polski od upadku, który by niechybnie nastąpił. Jak silna była obawa przed rewolucją...“

JOZEF GRZELAK



**POSTAC BRONISŁAWA WESOŁOWSKIEGO** — wybitnego działacza polskiego i rosyjskiego ruchu robotniczego, jednego z założycieli Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, aktywnego uczestnika Rewolucji Październikowej — związana jest z terenem obecnej Ziemi Łódzkiej.

Urodził się 14 sierpnia 1870 roku w Faworach, w powiecie rawskim, jako najmłodszy spośród dziesięciorga dzieci Andrzeja Wesołowskiego — właściciela majątku ziemskiego. W latach 1877—1881 Bronisław Wesołowski uczęszcza do

szkoły początkowej w Rawie, a po jej ukończeniu do gimnazjum w Warszawie. Usunięty z ostatniej klasy gimnazjum za działalność w nielegalnych kółkach młodzieżowych, zdaje maturę jako ekstern w Płocku w roku 1889. W tymże roku działa już czynnie w Związku Robotników Polskich w Warszawie.

W latach 1889—1890 Bronisław Wesołowski odbywa służbę wojskową w armii carskiej, a jesienią 1891 r. wyjeżdża na studia do Szwajcarii. Tu kończy w roku 1894 politechnikę w Zurychu, otrzymując dyplom inżyniera elektryka. Jeszcze w okresie studiów zaprzyjaźnia się z niektórymi polskimi i rosyjskimi działaczami rewolucyjnymi. W roku 1893 zakłada wraz z Różą Luksemburg i Julianem Marchlewskim Socjaldemokrację Królestwa Polskiego (SDKP), partię marksistowską, która w roku 1900 — po połączeniu się z lewicowymi socjaldemokratami z Litwy — przyjęła nazwę Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL).

Po ukończeniu studiów Bronisław Wesołowski przyjeżdża do Warszawy i zakłada krajową organizację SDKP. Jest jednym z organizatorów I Zjazdu SDKP (1894 r.) i jednym z głównych referentów w tym zjeździe. Pełni w partii funkcję sekretarza Komitetu Warszawskiego i Zarządu Głównego. Posługuje się pseudonimem „Smutny” i kryptonimem M.M.

We wrześniu 1894 r. Bronisław Wesołowski zostaje aresztowany i osadzony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Po dwuletnim pobycie w Cytadeli zostaje skazany na 6 lat katorgi i zesłany w ro-

ku 1896 do Wierchojańska w guberni jakuckiej (Wschodnia Syberia), gdzie znajduje się do roku 1903. Następnie przebywa na przymusowym osiedleniu w Kijowie, pracując tu jako inżynier.

Podczas rewolucji 1905 r. na wezwanie towarzyszy z kraju, głównie Feliksa Dzierżyńskiego, „Jan z Kijowa” (takiego pseudonimu używa wtenczas Bronisław Wesołowski) przybywa nielegalnie w sierpniu do Warszawy i włącza się aktywnie w nurt walki rewolucyjnej. Jest w latach 1905—1908 jednym z kierowników organizacji krajowej SDKPiL.

„Trybuny” zostaje delegatem na VI Zjazd SDPRR(b). Następnie pełni funkcję członka KC tej partii. We wrześniu 1917 r. z listy bolszewickiej wybrany jest do Piotrogrodzkiej Dumy Miejskiej. 2 listopada tegoż roku zostaje skierowany przez KC SDPRR(b) do pracy w Piotrogrodzkim Komitecie Wojskowo-Rewolucyjnym.

Bronisław Wesołowski aktywnie uczestniczy w przygotowaniach do rewolucji i w samej Rewolucji Październikowej, a po ustanowieniu władzy rad zajmuje odpowiedzialne stanowiska w Ogólno-

rosyjskim Centralnym Komitecie Wykonawczym Rad (WCIK). Jako doświadczony działacz, a jednocześnie człowiek mający wielkie poczucie sprawiedliwości, Bronisław Wesołowski zostaje mianowany 15 lipca 1918 r. członkiem Najwyższego Trybunału Sprawiedliwości, a następnie — od listopada tego samego roku — jego przewodniczącym.

19 grudnia 1918 r. Bronisław Wesołowski na czele delegacji Radzieckiego Czerwonego Krzyża przybywa do Warszawy, aby zorganizować pomoc rosyjskim jeńcom wojennym, znajdującym się na ziemiach polskich i omówić sprawę ich repatriacji do Rosji. W dniu następnym zostaje on wraz z całą delegacją aresztowany przez władze polskie, a po pewnym czasie wysłany pod eskortą wojskowej żandarmerii do granicy radzieckiej i w nocy z 1 na 2 stycznia 1919 r. zamordowany w lesie koło wsi Wyliny-Ruś (pow. Wysokie Mazowieckie). W ten sposób w początkowym okresie niepodległości naszego kraju zginął z rąk rodzimej reakcji człowiek, który 20 lat swego życia spędził w carskich więzieniach i na zesłaniu.

Po drugiej wojnie światowej na budynku rawskiej szkoły (dawne kolegium jezuickie z początku XVII w.), do której uczęszczał Bronisław Wesołowski, umieszczono tablicę poświęconą temu wybitnemu działaczowi robotniczemu rodem spod Rawy Mazowieckiej. On to, mimo swej ziemiańskiego pochodzenia, dobrze służył polskiej i rosyjskiej klasie robotniczej. Obecnie w starym budynku szkolnym w Rawie Maz. znajduje się muzeum regionalne.

W czerwcu 1906 roku Bronisław Wesołowski uczestniczy w V Zjeździe SDKPiL, który podejmuje uchwałę o zjednoczeniu z Socjaldemokratyczną Partią Robotniczą Rosji (SDPRR), przy zachowaniu odrębności organizacyjnej. Po aresztowaniu Feliksa Dzierżyńskiego i Juliana Marchlewskiego w roku 1906, prawie całe kierownictwo partyjne spoczywa w jego rękach. Ale i on w listopadzie tegoż roku zostaje aresztowany i osadzony na pewien czas w Brześciu, skąd uwolniony za kaucją powraca do Warszawy, do pracy partyjnej.

Bronisław Wesołowski z ramienia SDKPiL bierze udział w V Zjeździe SDPRR (1907 r.) w Londynie, gdzie należy do grupy popierającej stanowisko Lenina i bolszewików, zajmowane w omawianych na tym zjeździe sprawach. Posługując się pseudonimem „Zaborowski”, prowadzi następnie aktywną pracę partyjną w Warszawie i Łodzi. W dniu 25 lutego 1908 r. zostaje znów aresztowany i skazany 2 grudnia tego samego roku przez Warszawski Okręgowy Sad Wojskowy na 6 lat katorgi. Do roku 1910 odbywa wyrok w Łomży, a potem w Orle. Zesłany z kolei na dożywotnie osiedlenie na Syberie, do guberni jenijskiej, uwolniony zostaje dzięki rewolucji lutowej 1917 r.

Przybywszy do Piotrogradu, wchodzi Bronisław Wesołowski w skład Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Podejmuje też na nowo działalność w SDKPiL i SDPRR(b). Od czerwca 1917 r. jest zastępcą członka Komitetu Wykonawczego grup SDKPiL w Rosji. Z jego ramienia i redakcji

„Trybuny” zostaje delegatem na VI Zjazd SDPRR(b). Następnie pełni funkcję członka KC tej partii. We wrześniu 1917 r. z listy bolszewickiej wybrany jest do Piotrogrodzkiej Dumy Miejskiej. 2 listopada tegoż roku zostaje skierowany przez KC SDPRR(b) do pracy w Piotrogrodzkim Komitecie Wojskowo-Rewolucyjnym.

Bronisław Wesołowski aktywnie uczestniczy w przygotowaniach do rewolucji i w samej Rewolucji Październikowej, a po ustanowieniu władzy rad zajmuje odpowiedzialne stanowiska w Ogólno-

rosyjskim Centralnym Komitecie Wykonawczym Rad (WCIK). Jako doświadczony działacz, a jednocześnie człowiek mający wielkie poczucie sprawiedliwości, Bronisław Wesołowski zostaje mianowany 15 lipca 1918 r. członkiem Najwyższego Trybunału Sprawiedliwości, a następnie — od listopada tego samego roku — jego przewodniczącym.

19 grudnia 1918 r. Bronisław Wesołowski na czele delegacji Radzieckiego Czerwonego Krzyża przybywa do Warszawy, aby zorganizować pomoc rosyjskim jeńcom wojennym, znajdującym się na ziemiach polskich i omówić sprawę ich repatriacji do Rosji. W dniu następnym zostaje on wraz z całą delegacją aresztowany przez władze polskie, a po pewnym czasie wysłany pod eskortą wojskowej żandarmerii do granicy radzieckiej i w nocy z 1 na 2 stycznia 1919 r. zamordowany w lesie koło wsi Wyliny-Ruś (pow. Wysokie Mazowieckie). W ten sposób w początkowym okresie niepodległości naszego kraju zginął z rąk rodzimej reakcji człowiek, który 20 lat swego życia spędził w carskich więzieniach i na zesłaniu.

Po drugiej wojnie światowej na budynku rawskiej szkoły (dawne kolegium jezuickie z początku XVII w.), do której uczęszczał Bronisław Wesołowski, umieszczono tablicę poświęconą temu wybitnemu działaczowi robotniczemu rodem spod Rawy Mazowieckiej. On to, mimo swej ziemiańskiego pochodzenia, dobrze służył polskiej i rosyjskiej klasie robotniczej. Obecnie w starym budynku szkolnym w Rawie Maz. znajduje się muzeum regionalne.

W czerwcu 1906 roku Bronisław Wesołowski uczestniczy w V Zjeździe SDKPiL, który podejmuje uchwałę o zjednoczeniu z Socjaldemokratyczną Partią Robotniczą Rosji (SDPRR), przy zachowaniu odrębności organizacyjnej. Po aresztowaniu Feliksa Dzierżyńskiego i Juliana Marchlewskiego w roku 1906, prawie całe kierownictwo partyjne spoczywa w jego rękach. Ale i on w listopadzie tegoż roku zostaje aresztowany i osadzony na pewien czas w Brześciu, skąd uwolniony za kaucją powraca do Warszawy, do pracy partyjnej.

Bronisław Wesołowski z ramienia SDKPiL bierze udział w V Zjeździe SDPRR (1907 r.) w Londynie, gdzie należy do grupy popierającej stanowisko Lenina i bolszewików, zajmowane w omawianych na tym zjeździe sprawach. Posługując się pseudonimem „Zaborowski”, prowadzi następnie aktywną pracę partyjną w Warszawie i Łodzi. W dniu 25 lutego 1908 r. zostaje znów aresztowany i skazany 2 grudnia tego samego roku przez Warszawski Okręgowy Sad Wojskowy na 6 lat katorgi. Do roku 1910 odbywa wyrok w Łomży, a potem w Orle. Zesłany z kolei na dożywotnie osiedlenie na Syberie, do guberni jenijskiej, uwolniony zostaje dzięki rewolucji lutowej 1917 r.

Przybywszy do Piotrogradu, wchodzi Bronisław Wesołowski w skład Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Podejmuje też na nowo działalność w SDKPiL i SDPRR(b). Od czerwca 1917 r. jest zastępcą członka Komitetu Wykonawczego grup SDKPiL w Rosji. Z jego ramienia i redakcji

„Trybuny” zostaje delegatem na VI Zjazd SDPRR(b). Następnie pełni funkcję członka KC tej partii. We wrześniu 1917 r. z listy bolszewickiej wybrany jest do Piotrogrodzkiej Dumy Miejskiej. 2 listopada tegoż roku zostaje skierowany przez KC SDPRR(b) do pracy w Piotrogrodzkim Komitecie Wojskowo-Rewolucyjnym.

## POLONICA

### O NAZWANIE IMIENIEM BOYA ULICY MIAST FRANCUSKICH

Poetka i tłumaczka francuska, Rosa Bailly, zwróciła się do merów i uniwersytetów kilku miast francuskich z propozycją uczczenia pamięci Tadeusza Boya-Zeleńskiego. Organizatorka towarzystwa „Les Amis de la Pologne” przypomina swym rodakom, że polski pisarz położył olbrzymie zasługi dla kultury francuskiej w Polsce, przekładając 120 arcydzieł i organizując słynną Bibliotekę Boya. „Ten gorący przyjaciel Francji został rozstrzelany przez hitlerowców” — pisze Rosa Bailly i pyta: „Czy nie jest więc naszym obowiązkiem utrwać pamięć takiego człowieka na przykład nazywając jego imieniem którąś z ulic lub instytucji kulturalnych, czy umieszczając tablicę pamiątkową na jednej z bibliotek publicznych?”.

Niedawno Rosa Bailly ukończyła monumentalną „Historię Warszawy” dla Francuzów.

W. N.

### POWIEŚCI WITKACEGO WE WŁOSZECH

Wzrastającej na Zachodzie sławie i popularności

Witkacego — dramaturga towarzyszy coraz szersze uznanie dla jego twórczości powieściowej. „Nienasyceń” wydano w NRF i Szwajcarii, doskonale przekład angielski Louisa Iribarne czeka na swego edytora, wkrótce wyjdzie francuskie tłumaczenie „Pożegnanie jesieni”.

Dwie powieści Witkacego ukazały się we Włoszech, wzbudzając żywe zainteresowanie i stając się wydarzeniem literackim. Pod koniec roku 1969 nakładem Arnoldo Mondadori Editore wyszło „Pożegnanie jesieni” („Addio all'autunno”) w przekładzie Pierluigi Ruggieri. W listopadzie 1970 r. w znanej firmie De Donato ukazało się „Nienasyceń” („Insaziabilità”), które świetnie przetłumaczył Anton Maria Raffa (przekład skorygowało wiele osób, m. in. reżyser Giovanni Pampiglione oraz Barbara Wojciechowska).

Oba tomy prezentują się niezwykle okazale — wydane na luksusowym papierze, oprawione zostały w piękne płótno, a na okładkach pomieszczono barwne reprodukcje obrazów Maxa Ernsta i Otto Dix'a. Na skrzydełkach okłady znajdują się zwężone charakterystyki twórczości Witkacego i podstawowe fakty jego biografii. „Nienasyceń” tłumacz

poprzedził wstępem, omawiającym katastroficzne koncepcje Witkacego. W rzeczowych przypisach wyjaśniono bezbłędnie liczne do autentycznych osób i wydarzeń politycznych oraz kulturalnych lat dwudziestych w Polsce.

J. D.

### O NORWIDZIE WE FRANCJI

W „Le Monde” z 26 listopada ub. r. ukazał się artykuł Stanisława Kocika o 150-leciu urodzin Norwida. Autor stwierdza, że Cyprian Kamil Norwid był utalentowanym prozaikiem, malarzem, rzeźbiarzem, ale przede wszystkim — poetą, który na polskim Par-nasie odegrał rolę tej miary, co we Francji Baudelaire, Rimbaud i Mallarmé. Los literacki Norwida przypomina dzieje Lautremonta, równie nieznanego za życia, a uwielbianego dziś. Norwid jest uznawany za jednego z najbardziej oryginalnych, głębokich, a zarazem subtelnych autorów. Jest on jednym z nielicznych wielkich pisarzy polskich, którzy naprawdę zakorzenili się w życiu francuskim. Jego nazwisko nie jest zresztą we Francji nieznanym. Dowodem choćby 23 przekłady, dokonane m. in. przez Yvesa Bonnefouy, André du Bouchet i Jean Cassou, a ogłoszone w „Antologii polskiej poezji”, która się ukazała w 1965 roku w Editions du Seuil.

W. N.

## POLONICA



JAN BĄBIŃSKI

## Na Carnaby - Street

Moja wsiadka w samolocie lecącym z Londynu do Warszawy śmiała się sama z siebie. — Chyba upadłam na głowę. Po co zabierać do Londynu te wszystkie walizy z garderobą to już sama nie wiem. Patrzano tam na mnie jakbym spadła z księżycy.

Nieporozumienie dość typowe. Bierz się z mitów i legend o tych zasobnych i gospodarczo rozwiniętych państwach. Tam dopiero ludzie się stroją. Wszystko pewnie aż dyszy elegancją i najnowszą modą. Doprawdy nikt nie mógł pojąć mamę o tym, co się dzieje za tą szerszą, to jest za-

chodnią miedzą. Moda jest tam na praktyczność. Nawet jest moda na nonszalanę i stylizowaną niedbałość. Najwyżej ceni się dzwaczność w ubiorze. Londyn słynął niegdyś z najlepiej najwytworniej, najstarcanniej ubranych mężczyzn. To już historia. „Old England”, stara, wiktoriańska Anglia już nie istnieje.

Poszedł w diabły purytyzm i nakrochmalone mankiety. Dziś jest kurs na swobodę obyczajów i na swobodę w stroju. Elegancja jest w nieładzie.

W jakiejś tam mierze zaczęło się od Saganiki i od Bardotki. Te dwie francuskie panienki z dobrych domów na-

dały ongiś pewien styl zachowania, manier i ubioru. Ale to nie Paryż wywarł piętno najtrwalsze, tylko Londyn. Tak prawdę mówiąc, cały ten szal zaczął się od gitar i od bitelsów. Od śpiewu i potańcówek. Cała młodzieżowa kultura zaczęła się w zabawnych i matych kramikach na nieznaną do niedawna nikomu Carnaby-Street w londyńskim Soho. Kramikarze z Carnaby-Street głębszy odcisnęli stempel na młodzieżowej modzie niż wszystkie te ogromne, obrobione alkem, chromem i marmurem pompacyjne domy mody na Polach Elizejskich Paryża, razem wzięte.

Każdorazowy wypad na Carnaby-Street jest czymś wyjątkowo pasjonującym.

Na tej wąskiej niepozornej, obudowanej byle czym i byle jak, uliczce wylansowano bitelsowskie kufciaki, mini spódniczki, gorące majteczki, płócienne dzinsy, skórzane kurki, pasiaste wdzianka, włocheate swetry i wymyślne bieżery, zastępujące na co dzień tweedowe marynarki i staromodne już garnitury z australijskiej wełny. Młodzieżowa moda przesła-

zwycięsko przez wszystkie warstwy społeczne. Nawet księżniczki jej uległy. Nawet następcą tronu, wysmukły Charles, nosi straszliwe bączki.

Do Carnaby-Street w Londynie tłumy ciągną jak do Mekki.

Ta uliczka do złudzenia przypomina przedwojenną Franciszkańską w mieście Łodzi. Jest jednak dużo krótsza. Ma wszystkie jakieś 300 metrów. Jest poza tym tak ściśnięta, że dwa auta na jezdni z wielkim trudem się mieszczą. Jest jednym wielkim bazarem na wolnym powietrzu. Piętra to mieszkania, Parter to sklepy. Ale jakie! Pachnie w nich spiskiem, buntem i wschodnią tajemnicą. Te sklepy są sztucznie wyciemnione. Rozjaśnia je przytłumiony blask kolorowych neonów pokrywanych za grubą kotarą. I jeszcze muzyka. Nieprzerwane pasmo bitelsowskich songów sączy się na ulicę z niezliczonych magnetofonów stereofonicznych. To jest ten specyficzny nastrój intymności a zarazem wjaśnienia: jesteś u siebie. Jesteś w młodzieżowym królestwie. Rób co chcesz, kupuj na co masz ochotę, nikt ci tutaj w niczym nie przeszkodzi.

Na Carnaby-Street słychać języki wszystkich kontynentów.

Jak do wyroczni ciągną tu nieprzebrane tłumy z obu Ameryk, z Japonii, z całej Zachodniej Europy i z wszystkich państw Bliskiego Wschodu. Na tej uliczce naznacza sobie tendz-vous coraz potężniejsza międzynarodówka młodzieżowa zespolona jednym obyczajem, jednym strojem, big bitem i taką niechęcią do wszystkich, którzy nie mają zielono w głowie. Carnaby-Street nadaje ton. Jest on potem transponowany do innych krajów i na inne kontynenty. Tu rodzi się wszystko co jest nowe, często bezsensowne, ale obowiązujące w młodzieżowym stylu życia.

Tutaj wylansowano damskie buty, które wciąga się na nogę jak pończochę. Tu leżą zwalony najmłodniejszych dzinsów ze stemplem Carnaby-Street, jakich nie znajdzie się nigdzie indziej, choćby kto zjeździł cały świat. W tych zapachanych po sufit zakamarkach i piwnicach poprzerażanych umyślnie na rupieciarstwo, każdy znajdzie czego szuka. Za parę dzinsów płaci się na



# LISTY do REDAKCJI

## Lodzianie 1971

Tak, jak rok temu, tak i tym razem typuję nazwiska ludzi, moim zdaniem, najbardziej związanych z moim rodzinnym miastem. Pani doc. Anna Rynkowska poprzez własną pracę i publikowanie jej pism stara się pokazać Polakowi Łódź teraźniejszą, jej historię, ale zarazem prawdę o niej... Bo Łódź przestała być najeżona mnóstwem kominów, ale pozostały piękne zabytki jednego z najmłodszych kierunków architektury — secesji!

Pan Janusz Mackiewicz stara się pogodzić wymogi życia XX wieku, zapał i chęć architektów, a zarazem uczucia łodzian, związane z ich miastem. Jego stanowisko wobec zachowania zabytkowego wyglądu „Pietryny”, poprzez przystosowanie jej do wygodnego użytkownika, zasługuje na największe słowa uznania! Takie rozwiązanie wydaje się jak najbardziej słuszne!

Jako dziecko często odwiedzałem łódzkie teatry lalkowe, ale właśnie przedstawienia „Arlekina” ciągnęły mnie najbardziej. Gdy doszedłem do wieku szkolnego miałem okazję do zetknięcia się bliżej z jego aktorami i sceną. Właśnie pani Maria Ryl jest współtwórcą „Arlekina” i jej nazwisko

znajduje się jako trzecie na moim kuponie...

Jarosław Janowski

\* \* \*

Dwadzieścia kilka lat temu poznałem prof. dra Stanisława Cwynara, wtedy był doktorem. Ja byłem robotnikiem, wtedy — bardzo młodym. Przez okres trzech miesięcy dobrze poznałem tę wspaniałą postać. Podobał mi się bardzo, ponieważ był bardzo skromny, ludzki, bezpośredni i szalenie dobry człowiek. Lubił młodzież i chętnie z nią przebywał, potrafił znaleźć wspólny język czy to z robotnikiem, czy to ze studentem. Zawsze doradził i uświadamiał otoczenie. Kochał muzykę, przyrodę i sztukę. Po 18 latach spotkałem w Łodzi, ale już pana profesora. I, o dziwo, nic się nie zmieniło. Zawsze koleżeński, bezpośredni, ludzki, serdeczny, chętnie pomaga chorym i bezinteresownie. Pozostał takim, jakim naprawdę był — dobrym człowiekiem. W Łodzi dla służby zdrowia zrobił bardzo dużo. Wychowywał młodą kadrę dobrych lekarzy. Miastu i ludzkości przysłużył się dobrze. Swoją skromnością i dobrocią zdobywał przyjaźni w każdym środowisku.

W. Smigielski

\* \* \*

Anna Rynkowska — bardzo wartościowa kobieta. Pozdrowiać należy Jej pracowitość i zasługi dla naszego miasta. Cenię ją i wyróżniam dlatego, że jest bardzo pracowita, skromna unikająca rozgłosu. Oby więcej Jej podobnych było ludzi w naszej ojczyźnie.

W pełni zasługuje na miano: **ŁODZIANKI 1971 ROKU.**

Stanisława Świdarska — wyjątkowa, moim zdaniem,

kobieta, która potrafiła znaleźć czas na pracę zawodową, w domu, polityczną i społeczną. To rzeczywiście w dzisiejszych czasach fenomen w bardzo dodatnim znaczeniu.

Mnie najbardziej interesuje Jej praca społeczna z uczenniami. Właśnie ta praca — jest pracą o wielkich walorach społecznych. Ileż to dziewcząt schodzi na manowce i nawet ginie, lub cierpi właśnie dlatego, że nie ma takiej osoby, która by jej pomogła w wielu sprawach i doradziła, jak trzeba, i pokierowała.

By tak pracować — trzeba mieć czule serce dla takich właśnie dziewcząt, potrzebujących rzetelnej opieki i mądrej, dobrej rady na starcie życiowym. Oby więcej takich było kobiet w naszym mieście. Oby się więcej w ten sposób młodzieży udzielało. Można zaryzykować zdanie: Stanisława Świdarska wykonuje pracę bardzo cenną i pożyteczną. W pełni zasługuje na miano: **ŁODZIANKI 1971 ROKU.**

Tadeusz Stefański — to młody milicjant, zaledwie kilka lat pracuje w obranym zawodzie, a już dał się poznać naszemu społeczeństwu z najlepszej strony. Ryzykować własnym życiem, mając żonę którą kocha i dziecko — trzeba być człowiekiem wartościowym pod każdym względem. To się rzadko zdarza. O funkcjonariuszach milicji rozmawia się mówiąc, lecz o takim należy mówić zawsze i przede wszystkim naszej młodzieży, właśnie na lekcjach wychowania obywatelskiego. Nie znam Tadeusza Stefańskiego, lecz jego twarz mówi wiele dobrego o nim. Ratując życie nieznanego człowieka, ryzykując oddanie własnego w jego obronie — tak mógł postąpić człowiek o

wielkich walorach charakteru, umysłu i serca.

Moim zdaniem w pełni zasługuje na miano: **ŁODZIANINA 1971 ROKU.** Stawiam go na pierwszym miejscu. Oby w naszej milicji było więcej Jemu podobnych.

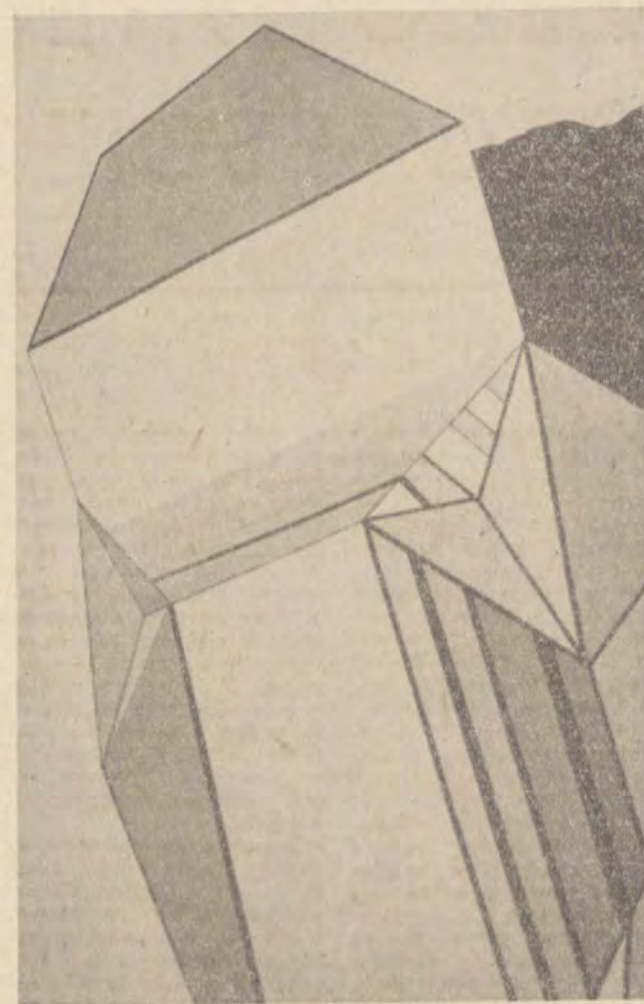
Andrzej Piaskowski  
nauczyciel-emeryt

Nawiązując do konkursu plebiscytu „Łodzianie roku” pragnę zaznaczyć, że spośród kandydatów, którzy są wybrani i uwidocznieni w Waszym poczytnym piśmie, wyróżnia się wybitnie pani doc. dr Anna Rynkowska, która swą mrówczą pracą dała nam poznać Łódź — Jej miasto i nasze miasto. Książka doc. dr Rynkowskiej otworzyła oczy nie tylko starym mieszkańcom, urodzonym w Łodzi, ale i młodzieży, która dotychczas w ogóle nie interesowała się ani przeszłością Łodzi, ani obecną, szybko rozwijającą się Łodzią.

Książka wydana w 1971 r. „Ulica Piotrkowska”, daje nam obraz Łodzi, której dotychczas nikt nie znał. Tak szczegółowo opisana historia niewątpliwie przyczyniła się do popularyzacji historii drugiego miasta w Polsce.

Bardzo mnie dziwi, że pomimo tylu zasług, jakie włożyła pani doc. Rynkowska w opis swego kochanego miasta, nikt się nie zainteresował, aby doc. Rynkowską przedstawić do odznaczenia i to nie tylko „Oznaką m. Łodzi”.

Dla mnie np. „Ulica Piotrkowska” doc. dr Anny Rynkowskiej, jak też rysunki grafika p. Kondka z przedmowa doc. Rynkowskiej, dotyczących „mojej Łodzi”, bo ja się tutaj urodziłem — są bezcennym skarbem i zakupiłem kilka egzemplarzy, ofiarowu-



Barbara Zydler „Obraz”  
Fot. T. Zydler

## CZESKIE SZKŁO

Ciągle za mało mamy wystaw, informujących nas o innych kulturach, wciąż mało ekspozycji z zagranicznych ośrodków artystycznych. Mimo że o sprawach importu i eksportu sztuki pisało się i pisze nadal, sytuacja zmienia się w przyspieszonym tempie. Niemniej od czasu do czasu udaje się nam obejrzeć jakąś wystawę „z zagranicy” i jest to wtedy wielkie święto (dla oglądających oczywiście); mimo iż większość tych wystaw nie prezentuje nam „towaru”, któremu można by przyznać bez zastrzeżeń znak jakości „Q”. Bez wątpienia wystawy naszej sztuki wysyłane za granicę są lepiej komponowane, chociaż i tu zdarzają się stanowczo za często „zdemniwające paradoksy” i budzące zastanowienie przeoczenia dzieł i nazwisk.

W samym programie „eksportu i importu sztuki” istnieje ponadto niezrozumiałe przeszkody i bariery, uniemożliwiające pełną wymianę dzieł i twórców w samym obozie państw socjalistycznych. Nadmierne zmonopolizowanie kompetencji jest tu, oczywiście, hamulcem numer jeden. A o tym, że można jednak rzecz zalać z pozycji własnego podwórka świadczą przykłady szczytnego Festiwalu Malarstwa Państw Socjalistycznych i Łódzkiego Muzeum Sztuki. Nie zawsze dla zorganizowania wystawy malarstwa jakiegos Węgra czy Bułgara trzeba angażować korpusy dyplomatyczne.

W wymianie kulturalnej między poszczególnymi krajami nie najmniejszą rolę odgrywają ośrodki kultur narodowych.

Te skromne instytucje odwalają ogromny szmat dobrej roboty, tym bardziej, że działają wśród zwykłych, szarych ludzi. Ze tak jest naprawdę, wystarczy zajrzeć do Ośrodka Kultury Węgierskiej, Czechosłowackiej, Bułgarskiej czy innego w Warszawie, aby znaleźć się w tłumie oglądających ekspozycje dzieł sztuki lub kupujących przedmioty rzemiosła artystycznego, wydawnictwa książkowe czy muzyczne.

Ostatnio na przykład w Ośrodku Kultury Czechosłowackiej zorganizowana została wystawa rzemiosła artystycznych, przez nadmiar skromności chyba nazwana „przedświąteczną”. Ekspozycje udostępnione zostały przez Czechosłowackie Centrum Rzemiosła Artystycznego, a wśród nich na największą uwagę zasługują sławne dziś w świecie i bogate w tradycję szkło czeskie oraz ceramika artystyczna. To właśnie szkło mamy okazję oglądać obecnie w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki przy ul. Narutowicza.

Czechosłowackie Centrum Rzemiosła Artystycznego powstało w 1957 roku jako instytucja działająca w ramach Ministerstwa Kultury, a szczególnymi staraniami otacza rzemiosło artystyczne, jego rozwój i ochronę. Centrum skupia ponad 600 artystów w 31 specjalności w 51 specjalnie zorganizowanych ośrodkach.

Do najważniejszych zadań Centrum należą: — troska o zabytki, konserwację, rekonstrukcję oraz sporządzanie kopii dzieł sztuki; — realizacja współczesnych prac plastycznych dla galerii i muzeów oraz elementów artystycznych dla potrzeb architektury; — wykonywanie przedmiotów sztuki użytkowej i rzemiosła artystycznego na użytek społeczeństwa.

Te kierunki działalności Centrum zapewniają więc nie tylko opiekę i rozwój podstawowych specjalności rzemiosła artystycznego, ale też zapewniają produkcję dla potrzeb społeczeństwa i turystów.

Trzeba dodać, że struktura administracyjno-ekonomiczna Centrum, wypracowana latami doświadczeń ułatwia, a nie utrudnia realizację powyższego programu. Stabilizacja kadr

wysoko wykwalifikowanych pracowników — twórców umożliwiała kształcenie młodych adeptów artystycznego rzemiosła, co dla ciągłości jego rozwoju jest sprawą decydującą. Ponadto ścisła współpraca z plastykami pozwala na przenikanie do rzemiosła prądów i kierunków rządzących sztuką współczesną, co w połączeniu z tradycją pozwala tworzyć przedmioty o wysokim poziomie artystycznym, a jednocześnie bliskie gustom dzisiejszego odbiorcy.

A efekty takowego pomysłu i konsekwentnej jego realizacji? Jak się okazuje — są jak najlepsze. Z ekspozycjami udostępnionymi przez Centrum polskiemu odbiorcy spotykamy się już po raz trzeci. Za każdym razem budzą one uznanie znawców, cieszą się powszechnym zainteresowaniem. Osobiście polecam obecną wystawę szkła w Klubie Książki i Prasy — dostarczy ona bez wątpienia wielkiej radości naszym oczom. Zaś program Czechosłowackiego Centrum Rzemiosła Artystycznego i jego doświadczenia w opiece nad rozwojem rzemiosła polecam również gorąco uwadze Cepelli i wszystkim innym odpowiedzialnym za polskie rzemiosło artystyczne i za twórczość ludową. Jest się od kogo i jest czego się uczyć. Z naszym rzemiosłem artystycznym nie jest najlepiej. Wiadomo, że nie... i w ten sposób odejść bezpowrotnie w przeszłość razem ze śmiertelą ich ostatnich Mohikanów. Tymczasem sklepy Cepelli przekształcają się coraz bardziej w sklepy meblarsko-odzieżowe. A czegoś takiego jak pamiątka nie uświadczyz w nich za szczerze złoto, nawet za dewizy. Za to siwaków, wycinanek i krakowiaków mnóstwo. Lecz jak długo można siwakami, wycinankami i laleczkami legitymować polskie rzemiosło artystyczne wobec swoich i obcych.

Na zakończenie gwoli informacji przypomnę jeszcze, że na ostatniej wystawie rzemiosła artystycznych w Monachium rzemiosło Czechosłowackie pod firmą Centrum otrzymało złoty medal.

A. G.

Carnaby-Street minimum 3 funty, jakies 5 dolarów. Ale też dzinsy są niezwykle. Pochodzą z Black Hills w Dakocie i z krowich farm Teksasu i Arizony. Pochodzą z tych wielkich amerykańskich równin, gdzie wciąż jeszcze jak za czasów Buffalo Billia królują kowboje w parcianych dzinsach. Czym tym interesem kieruje pani Jackie Braine z King's Road w Londynie. Pani Jackie Braine sprowadza co tydzień z Nowego Jorku 20 ogromnych skrzyń wypchanych starymi znoszonymi, polatanymi dzinsami po kowbojach z Dakoty. Pani Jackie Braine placu nowojorskim eksporterom po 20 pennów za parę kowbojskich spodni. Detaliści z Carnaby-Street placu obrotnej paniusi półtora funta za parę. Sami ściągają po 3 funty.

Na Carnaby-Street kowbojskie portki uległy transformacji. Wyszlachetniały. Nabrały cech towaru, do którego wzdycha się po nocach i kupuje za pierwszą pensję. Bo dzinsy dzinsom nierówne. Im więcej mają dziur, lat, plam, dwuznacznych napisów, wyszarpań i wygnieceń, tym są cenniejsze. Im więcej noszą dwuznacznych napi-

sów, frędzli i błyskotek, tym są droższe. Pani Jackie Braine siedzi w swym piwnicznym magazynie przy King's Road na milionach. Siedzi na znoszonych, potarganych dzinsach, które z Carnaby-Street rozchodzą się po całej kuli ziemskiej. Już nawet Japończyków widywałem w polatanych, wypłamionych dzinsach, choć w Japonii obyczaje przodków dużo głębsze i silniejsze mają korzenie w rodzinnej glebie niż gdziekolwiek indziej na tym globie.

W Londynie jeszcze tylko urzędnicy kamiennych banków, światowych towarzystw ubezpieczeniowych i oceanicznych firm bezpieczeństwa zachowują w ubiorze styl starej purytańskiej i dobrej Anglii. Jeszcze tylko oni wysypują się rankiem ze stacji metra „Bank” i „Moorgate” na zatłoczone ulice przy londyńskiej giełdzie ubrani w czarne garnitury, czarne meloniki i czarne trzewiki. Jeszcze tylko oni są sztywni, pewni siebie, na swój sposób aroganccy, majestatyczni, popatrzą z sarkazmem, ironią i z lodowatą obojętnością na wszystko, co nie jest z ducha angielskiego. Dzielnice trzymają się

też starsi panowie. Są ubrani jak ich ojcowie i ojcowie ojców. Mają czarne parasole w ręku i krótki wąsik colonelów. Spoglądają z pobłażaniem na różnobarwny tłum uliczny złożony chyba z cyrkowców, apaszy i zaklinaczy węzów.

Kławat? Po co komu krawaty? Jeszcze kilka lat temu, kto wybierał się z przedmieścia do City, wiał krawat pod szyją. Wypadało. Należało do dobrego tonu. Dziś już nie należy. Dziś jak kto chce i jak komu wygodnie.

Londyńska ulica mrowi się od rana do nocy pstrokato odzianym tłumem, który by można wziąć za pochodół jasełkowych przebiegaczy. Czy jest to wyraz zubożenia wobec materialnych dóbr tego świata? Raczej jest to poza. To maniera i mania Jeszcze przez tego. To również rodzaj protestu przeciw dawnym konwenansom i wszystkim tym tradycjom, które kiedyś tak charakteryzowały wyspiarskiego ducha Anglików.

Lepiej już jednak ostrożnie. Lepiej już nie oceniać nikogo po ubiorze. Ubiór nie jest już pochodną czyjejs sytuacji materialnej. Jest pochodną

mody i stylu życia. Ten młodzieniaszek, który kręci się po Carnaby-Street z parcianą torbą na gołym grzbiecie może być wnukiem samego Rotszylda. Ta dziewczyna z rozpuszczonym luźno włosiem, w dziurawych dzinsach, może być córką nafiarcza z Teksasu. Może ją dzielić od tej drugiej bosonogiej girl otchłań milionów. Po tym jednak co nosi wcale tego nie widać. Ubiór o niczym już absolutnie nie mówi. A już najmniej mówi o czyichś dochodach, wykształceniu i piastowanym stanowisku. Powiedzenie „Kleider machen Leute”, po ubiorze cię sądzą, trzeba już odnieść do zamierzelich niemal przeszłości. Londyńska ulica jest rozczochrana, rozwichrzona, brudna i nieprawdopodobnie długowłosa.

W dniu odiotu rozmawiałem z teledziwą już panią, która w Londynie spędziła 30 lat, ale ma już tego dosyć i wybiera się na stałe do kraju.

Dlaczego? Przecież tak brzemienna w skutki decyzja nie mogła przyjąć tej kobiecie łatwo. Była w pewnym sensie niezrozumiała. Starszej pani niczego nad Tamizą nie brakuje. Ma jeden piękny

dom po pierwszym mężu i ma drugi wspaniały dom po drugim mężu. Ma konta i wysoka prócz tego rentę. Ma też wiele innych rzeczy. To osoba finansowo niezależna, którą nawet w drogim Londynie stać na wszystko. A jednak starsza pani postanowiła nieodwołalnie zerwać z Londynem i powrócić do Polski. Starsza pani wyznała, że ma już po uszy wszystkich tych brudasów i obszarpanców, którzy wyglądają, jak zwierzęta wypuszczone z dzungli. Po prostu boi się. Tak się lęka, że na ulicę wychodzi gdy już musi. Sam widok tych obdartych kudłaczy zalatujących z daleka smrodem i brudem przyprawia ją o mdłości. Dłużej już nie może. Próbowala to zwalczyć, ale bez skutku. Trudno, ale nie może. Londyn nie ten co kiedyś. Starsza pani sprzedaje oba domy i przenosi się do Warszawy. Mieszkanie kupiła za dolary. Brzmi to może nieprawdopodobnie, ale co pisze jest prawdą. Nie zmyslałam absolutnie niczego. Na koniec Jeszcze usłyszałam: Ludzie w Polsce są jeszcze podobni do ludzi... a ja chcę mieć spokój na stare lata.



KAROL BADZIAK

# ZEZOWATE SZCZĘSCIE

Niedawno na łamach „Odgłosów” nasza koleżanka redakcyjna wyznała publicznie: „Jak zostałam kryminalistką. Ja wprawdzie jestem człowiekiem uczciwym, ale również chciałbym się z czegoś zwierzyć. Myślę, że to nawet dobrze się składa, iż dziennikarze bywają nie tylko redaktorami, lecz także petentami, klientami, lub pasażerami. Dzięki temu lepiej poznają życie oraz troski, kłopoty i codzienne przygody Czytelników. Świetnie to wpływa na ich zaangażowanie publicystyczne, choć z pozorów wygląda na wulgarną prywatę, uprawianą na koszt państwa.

Niektórzy ludźmi się, że gdyby na przykład dyrektor MPK jeździł do pracy tramwajem, miałyby to znaczny wpływ na polepszenie komunikacji miejskiej. Według mnie nie jest to wcale takie pewne. Otóż przeprowadzono kiedyś następujący eksperyment z konserwatorami wind. Przydzielono im mieszkania na ostatnich piętrach wieżowców. Ludzie prostego serca uwierzyli, że windy będą w tych budynkach sprawniejsze. Nie podobno, konserwatorzy nie wytrzymał próby charakteru i wyprowadzili się do parterowych domków. W tej sytuacji nie mam odwagi namawiać prezesa Spółdzielni „Lokator”, żeby zamieszkał na Teofilowie zwłaszcza w bl. 206, gdyż zapewne po dwóch latach zrezygnowałby z członkostwa tej Spółdzielni. Ja, niestety, nie mam takich możliwości — muszę tu mieszkać i doświadczać wszystkich kłesk żywiołowych z tym związanych.

Zima co prawda dotychczas była łagodna, więc mieszkało się nie najgorzej. Jednakże, gdy tylko jedenaście stycznia temperatura spadła poniżej 10 stopni Celsjusza, natychmiast wyłączono nam na dwa dni centralne ogrzewanie. I słusznie, odczekano, aż dzieci wrócą z kolonii, żeby zabawa była pyszniejsza. Jak dzieci wróciły, zjawili się hydraulicy i przystąpili do

czynności zwanych „kryzowaniem” kaloryferów. Rzecz robiono w ciągu dnia, ale dozorczyń, jako osoba najbardziej urzędowa w naszym domu, oświadczyła, że zwyczajnie zapomniano na noc włączyć c. o. Kiedy na drugi dzień rano mieszkańcy udali się z pretensjami do administracji, nikogo tam nie zastali. Zmyślni pracownicy w przewidywaniu takiego obrotu rzeczy gremialnie udali się „w teren”, zostawiając na posterunku księgową, zajęętą zbożnym podliczaniem czynszu.

Proszę sobie nie wyobrażać, że jestem jakimś lokatorem-piłą, lokatorem-stonką, ciągle się piekłącym i użerającym o swoje. Wręcz przeciwnie, byłem w tym roku kilka razy w administracji, lecz tylko w tym celu, ażeby poinformować, iż wycieka woda z kranu. Mnie to nie przeszkadza, ale obliczyłem, że na dobę marnują się prawie trzy wanny tak drogocennej w łódzkiej warunkach wody. Niestety, minęło kilka tygodni i nikt się nie zjawił. W końcu naprawił mi kranu uczynny sąsiad z politechnicznym wykształceniem.

Podobnie rzecz wyglądała z gazomierzem, który nieoczekiwanie przestał działać. Zaczekałem, aż przyjdzie kasjer po pieniądze, by mu zameldować, że licznik się zepsuł. Kasjer odrzekł, że to nie jego sprawa. Moja również — nie, lecz mimo to zadzwoniłem do gazowni i znów nikt się nie kwapił, by przyjąć i naprawić licznik. Mogłem zużywać tyle gazu, ile tylko dusza zapagnie. Jednak sumienie obywatelskie nie pozwalało mi uprawiać gazowego pajęczarstwa. Dopiero interwencja u samego dyrektora dała rezultat.

Są to oczywiście drobniactwa. Ale życie składa się z takich drobniactw. Kobiety łódzkie spostrzegły zapewne, że pralnie coraz niechętniej przyjmują bieliznę do zwykłego prania. Oferują w to miejsce pranie ekspresowe, droższe. Tajemnica polega na tym, że od roku obowiązuje zakaz podnoszenia cen, w

tym także cen za usługi. Pralnie omijają zakaz w ten sposób, że usługi tańsze sukcesywnie likwidują, zmuszając do korzystania z usług droższych. Czyni tak z dużym powodzeniem Spółdzielnia „Czystość”, a i nie lepiej postępują Miejskie Pralnie. W pierwszym wypadku chodzi o dywidendy, w drugim — o premie. Klientów czaruje się z reguły awarią kotła, lub nawalem zamówień. Tymczasem jest to zwykłe naciąganie ludzi i utajona podwyżka cen za usługi.

W ogóle, jeśli idzie o ceny usług, to zalecam częstsze zagłębienie do cenników. Przekonałem się o tym na sobie w Spółdzielni „Ta-

picer”. Kiedy udatem się po raz pierwszy do punktu spółdzielni, zażądano ode mnie za naprawę tapczanu 1400 zł. Za drugim razem już tylko 1200 zł. Jak zająłem do cennika, okazało się, że koszt reperacji nie powinien przekroczyć 700 zł.

Całe szczęście, że tylko mnie jednemu zdarzają się takie przykre i smutne przygody. Mam po prostu wyjątkowego pecha. Wszyscy inni mają dobrze, windy w ich domach się nie psują, kran w ich mieszkaniach nie przeciekają, liczniki gazowe działają bez zarzutu, w mieszkaniach ciepło i przytulnie i nawet tapczanu nie muszą reperować. To jest życie!

## TEATR OBIEKTYW

### CZAPKA MONOMACHA

Televizja to przede wszystkim środek podawczy. Dla samej jej techniki obojętne jest właściwie, co przekazuje. Czyni to jednak ze skutecznością i zasięgiem, z jakim nie jak dotąd nie może się równać.

Dlatego wpręga się tego telewizyjnego rumaka w służbę różnych sztuk, a przede wszystkim literatury, teatru i filmu. Spełnia tę swoją funkcję służebną telewizja bez sarkania, przeciwnie, w poczuciu, że to należy do jej społecznych obowiązków. Śięgając natomiast po dzieła wybitne, przysparza sobie splendoru.

Pomyślałem sobie o tym, gdy oglądałem w II programie wznowienie obu serii filmu Sergiusza Eisensteina „Iwan Groźny”. To wielkie dzieło, które w sposób trwały weszło do klasyki filmowej, zyskuje u nas dzięki telewizji nową widownię, która mogła się dotąd jeszcze z nim nie zetknąć.

Film swój realizował Eisenstein w latach 1944-46. Pierwsza seria powstała jeszcze podczas wojny, a jej prapremiera moskiewska odbyła się 16 stycznia 1945 roku. Trudno zaliczyć ten film do rekonstrukcji dzieł, czy do zekranizowanych biografii wielkich postaci historycznych. Wprawdzie w pewien sposób opowiada o życiu i rządach cara Iwana zwanego Groźnym, ale... Właśnie! Z akcentem na słowach „w pewien sposób”.

Ma w sobie film Eisensteina coś z tragedii Szekspira, coś z operowej elegii i coś z teatru cieni. Jest przede wszystkim wielkim widowiskiem, kompozycją plastyczną, wyważeniem światła i cienia. Wszystko to ma za oprawę bogaty kostium renesansu moskiewskiego, lamowane drogim futrem złotogłowi bojarów, bogate szaty liturgiczno-cerkiewne i dla kontrastu ciemne habity mnisz.

Z tego tworzywa wizualnego wspartego ekspresyjną muzyką Sergiusza Prokofiewa konstruuje Eisenstein swój film pełen romantycznej stylizacji i patosu. Takiej właśnie generalnej koncepcji muszą podporządkować się aktorzy: znakomity Mikołaj Czerkasow w roli tytułowej, S. Birman (ciotka carów Eufrozyna Staricka), P. Kadocznikow (jej syn Włodzimierz), Z. Celikowska (caryca Anastazja). Są jak chórzycy w wielkim oratorium.

Eisenstein nie stara się idealizować cara Iwana. Niedarmo rzdy tego człowieka spłynęły krwią. W walce z opozycją bojarską o umocnienie jednolitej władzy carskiej nie przebiega w środkach. Jest jednak przy tym postacią głęboko tragiczną. Z gigantycznym zadaniem, jakie wziął na swe barki, musi sam się uporać. Nie ma w otoczeniu swym przyjaciół, ani ludzi godnych zaufania. Życiu jego stale grozi niebezpieczeństwo.

Ten dramat władcy wysuwa się na pierwszy plan w treści filmu. Kółpak carów, zwany czapką Monomacha, nie przynosi szczęścia. „O, jakże ciężka jesteś, czapka Monomacha!”. (Och, ciężka ty, czapka Monomacha!) — mówi car Borys Godunow w dramacie Aleksandra Puszkina. Sam przydomek Monomach, który nosił XII-wieczny książę kijowski Włodzimierz, oznacza po grecku: walczący w pojedynkę.

Przyszło więc walczyć w pojedynkę i carowi Iwanowi. Przyszło poświęcić szczęście osobiste, utopić we krwi spokój sumienia, utracić bezpowrotnie spokojny sen. Tak przedstawiony władca Rusi nabiera u Eisensteina cech głęboko ludzkich, choć przestępnych zewnętrzną gwałtownością. Dochodzi to szczególnie do głosu w drugiej serii filmu, gdy mija młodzieńca euforia i upojenie władzą, gdy tę ostatnią Iwan zaczyna odczuwać jako unicestwiające brzemie.

Za część I „Iwana Groźnego” otrzymał reżyser nagrodę Stalinowską, premiera II części mogła się odbyć dopiero po śmierci Stalina. Nie doznał jej sam Eisenstein, który zmarł w 1948 roku.

Dwuseryjne dzieło „Iwan Groźny” przemawia dziś do nas z ekranów telewizyjnych. Niewyrobiony widz może być z początku nieco zaskokowany konwencją filmu, może próbować odczytywać go dosłownie. To prowadzi, oczywiście, na manowce. „Iwan Groźny” to przede wszystkim dzieło sztuki, które wymaga od widza skupienia i rosmakowania się w bogatej strukturze artystycznej tego filmu.

Televizja nie zrobiła złego wyboru, sięgając po „Iwana Groźnego”.

WLADYSŁAW ORŁOWSKI

## spektakle tygodnia

ZA OKRES OD 10 DO 16. I. 1972 R.

TEATRY	Ilość spektakli	Liczba widzów	proc.
<b>WIELKI</b>			
„Madame Butterfly”	1	1260	100
„Królowa Śnieżka”	2	2520	100
„Białowłosa”	1	1100	88
<b>NOWY</b>			
„Sprawa Dantona”	2	1414	100
„Opowieści Lasu Wiedeńskiego”	1	630	90
„Żołnierz i bohater”	1	630	90
„Idiota”	2	1120	89
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę”	3	2100	100
<b>NOWY Mała Sala</b>			
„Rodeo”	2	360	90
„Urodziny”	2	240	60
<b>POWSZECHNY</b>			
„Perla”	2	1200	92
„Królewskie polowanie na słońce”	3	1900	95
<b>JARACZA</b>			
„Dwudziesta noc”	4	2120	98
„Kartofel”	1	400	70
„Szklanka wody”	2	864	84
„Tajemniczy ogród”	2	1081	98
<b>7.15</b>			
„Po górach, po chmurach”	7	2176	70
<b>OPERETKA</b>			
„Kaper królewski”	6	5185	79
<b>FILHARMONIA</b>			
koncerty symfoniczne	2	950	70



Scena z filmu pt. „Dwoje na huśtawce”

## O FILMACH DOBRZE I ZŁE

Dane statystyczne informują, że „BULLITT” Petera Yatesa jest jednym z dziesięciu najbardziej kasowych filmów w historii amerykańskiego kina. Kariery poszczególnych filmów trudno czasem dać się wytłumaczyć, dotyczy to na pewno również filmu Yatesa, który utrzymany w stylu takich znanych i u nas filmów, jak „Zabójcy” Pollacka czy „Zbieg z Alcatraz” Boormana nieczym szczególnym na ich tle się nie wyróżnia. We wszystkich tych trzech dramatach sensacyjnych odnajdujemy dość wyraźne akcenty krytyki społecznej, wpływające z obrazu świata zbrodni zorganizowanej, w którym podają sobie ręce profesjonalni przestępcy i politycy. Jeśli celem można te filmy za ich nie-

wątpliwie sproblematyzowanie układu: gangsterzy-politycy w życiu Ameryki, to większy kasowy sukces „Bullitta” tłumaczyć można szansą, jaką poprzez postać tytułowego bohatera dał widzowi realizatorzy filmu. Trudno było w filmach Pollacka czy Boormana identyfikować się z którąkolwiek postacią, w filmie Yatesa widz tę, tak istotną w odbiorze utworu kinowego, szansę posiada.

Detektyw Frank Bullitt nie może już w dzisiejszym świecie posługiwać się metodami dawnych swych kolegów, jego działania nie zawsze posiada cechy przejrzystej szlachetności. Niemniej jego upór w tropieniu zbrodni wpływa z wewnętrznego przekonania o potrzebie walki ze złem. Nie-

przekupny Steve McQueen niczym nie przypomina Paula Newman, z „Ruchomego celu”. Przywołując z pamięci te znane widzom filmy, które w naszym repertuarze reprezentują współczesny, amerykański dramat gangsterski, by uświadomić sobie, iż to, że kino doskonaliło swój warsztat realizatorski i osiagając jego aktualny nowoczesny poziom, przyciąga widza głównie tym, co jest pewnym standardem i stereotypem wypracowanym na przestrzeni jego historii.

To, że Frank Bullitt wygrzywa, przegrzywa, decyduje, iż film Yatesa zyskuje mocniejsze w znaczeniu akcenty, przesuwając się z linii czystej komercji, o którą łatwo można by „Bullitta” posądzić, jej bowiem mimo wszystko służy cała wyrafinowana stylizacja tego filmu. Zwróćmy tylko uwagę na jego przejmujący, niespokojny i nierówny rytm, utrzymujący wi-

dstawienia Andrzeja Wajdy z Elżbietą Kepińską i Zbigniewem Cybulskim w rolach głównych, a nie grywana od lat w teatrze, powraca zatem do nas w swej wersji kinowej. Nazywano tę sztukę „koncertem na dwoje aktorów i telefon”, i właściwie film, mimo pewnego poszerzenia miejsca akcji i wprowadzenia kilku drugoplanowych postaci, koncertem takim pozostał, a reżyser zupełnie nie starał się zatrzeć jego scenicznego pochodzenia. Gdybyśmy dla oceny pracy Roberta Wise (twórcy słynnego musicalu „Historia z Zachodniej Dziesiętnicy”) przyjęli kryteria reżyserii filmowej, moglibyśmy mówić, że jest ona zbyt ciężka. Ale czemu nie potraktować tego filmu, jako sceny dla wielomilionowej widowni, czemu nie cenić sobie przede wszystkim znakomitego, inteligentnego dialogu, a także gry głównych wykonawców: Shirley MacLaine i Roberta Mitchuma?

Oglądając „Bullitta” jesteśmy na bieżąco z tym, co dziś się proponuje światowej publiczności. Premiera filmu Roberta Wise „DWOJE NA HUŚTAWCE” to powrót do tego, co było modne, o czym się mówiło przed laty dziesięć. Sztuka Williama Gibsona znana i u nas, choćby tylko z głośnego w swoim czasie przed-

Może się filmowa wersja „Dwojga na huśtawce” i nie podobać, można w tej mitosnej historii dostrzec zbyt wiele sytuacyjnych spekulacji, trudno jednak nie cenić wspomnianego mistrzostwa w prowadzeniu dialogu, który służy głównie określeniu charakterów postaci. Jeśli zatem bohaterowie już są nam dani w dialogach, szczególną satysfakcję sprawiła musi oglądanie wysiłków MacLaine czy Mitchuma, gdy stają się o to, by Gittel i Jerry byli tylko nimi, by pozwolili wypełniać się ich aktorską osobowością. To, że Mitchum znalazł się w filmie Wisego, jakby nieco w cieniu MacLaine, wynika zatem z tego, że postać Gittel jest w dialogach Gibsona po prostu lepsza. Nie dane mi było widzieć przedstawienia Andrzeja Wajdy, warto by się dowiedzieć, jak poradził sobie z Jerrym Zbigniew Cybulski.

EWA NURCZYŃSKA



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## WAMP MA 70 LAT

Urodziła się w Berlinie w roku 1901 jako córka pruskiego oficera policji. Jej nazwisko — Maria Magdalena Dietrich znana widzom kinowym na całym świecie w latach trzydziestych jako Mariena, Mariena Dietrich — o wspaniałych nogach (wysoko ubezpieczonych), kobieta o niezwykłym talentie aktorskim. Kobieta-wamp. Niezłoty diabeł stylizowała się na jej pozycję i minę. Dużo mężczyzn wzdychało do Marieny z ekranu. Dziś już wiemy, że typ kobiety-wampa tak modny w latach trzydziestych, nie był bynajmniej wynalazkiem samej Marieny, lecz został jej narzucony przez reżyserów, do czego później przynajmniej odkrywcę jej talentu — reżyser Sternberg.

Filmowa karieta Marle-

ny zaczyna się w Berlinie. Po kilku zapomnianych już dziś całkowicie filmach, w których Mariena występuje od 17 roku życia, amerykański reżyser Sternberg powierza jej główną rolę w filmie „Błękitny anioł”. Ten to właśnie film, który pojawia się na ekranach w roku 1930, decyduje o niebywałej karierze aktorki. Józef Sternberg zabiera Marienę do Hollywood. Film „Marocco” (Marokko), w którym Dietrich gra rolę Amy Joly, wnieśli do niej niebywały triumf. Po tym już reżyserzy nakreślają z nią film za filmem. Kreują na wamp. Mariena staje się symbolem kobiety wyzwolonej z wieloletnich więzów. Oto kobieta, która nie czeka aby być wybrana przez mężczyznę, to ona wybiera. Uwodzicielska, pełna demonicznej siły, Mariena

wieła się w rozmaite role: dziewczyny ulicznej, pilotki, szpiega, pomocy kuchennej. Mężczyźni szaleją za jej smukłymi nogami, za jej spojrzem spod przymrużonych powiek, za jej niskim, urodzielskim głosem, którym śpiewa piosenki. Ale Sternberg który reżyseruje Marienę, w pewnym okresie czasu zachowuje się jak pogromca, który przetrzesował swą pupilkę, wywołując znanierowanie. Niektóre filmy z Marieną w rezultacie są po prostu szmيرًا. Wybitny radziecki reżyser Eisenstein, który poznał Marienę u Sternberga powie potem o niej: „Jakaż to fascynująca kobieta i nieprzeciętna osobowość, kiedy spotyka się ją prywatnie, i jakież to żalonne monstrum, gdy widzi się ją na ekranie w roli wampa...”

Ale kilka złych filmów nie wpłynęło na spadek powodzenia Marieny. Jeszcze przez kilka lat, póki typy kobiety-wampa, nie zastąpił inny ideał kobiety, Mariena święciła będzie triumfy. A gdy w sezonie 1968-1969 wystąpi na estradzie ze swymi piosenkami, które śpiewała w filmach, cały Broadway słucha jej entuzjastycznie. Miała wielu przyjaciół, powiedzmy ścisłej kochanków, spośród wybitnych ludzi swej epoki. Do jej wielbicieli zaliczali się Jean Gabin, Remarque, Hemingway, Orson Welles i Józef Sternberg. Jej odkrywcę, publicystę kinową dowiedzieli się dość późno, że Mariena jest od dawna zamężna. W roku 1925 bowiem poślubiła reżysera Rudolfa Siebiera, z którym się do dziś nie rozwiodła.

## ZMARŁ FRANS MASEREEL

Frans Masereel, który zmarł ostatnio w Awinionie znany był głównie jako ilustrator książek Rollanda. Z pochodzenia był Flamandem. Urodził się w Belgii w roku 1889. Już w czasach młodości i studiów artystycznych interesował się żywo grafiką, najpierw

międzylotnictwem, później w krajach flamandzkich i gdzie indziej” Charlesa de Costera i 603 drzeworytów do wielkiego dzieła Rollanda „Jan Krzysztof”. Jest też autorem cyklu drzeworytniczego zatytułowanego „Souvenirs de mon pays” (Wspomnienia o moim kraju) w którym przedstawił zarówno krajobraz jak i



1917-1980 współpracuje ze szwajcarskim pisarzem „La Follie”. Gdy podczas pierwszej wojny światowej armia niemiecka napada na Belgię Masereel tworzy m. in. ilustracje o patriotycznej treści do „Piętnastu poematów” słynnego jego rodaka Emila Verhaerena. W czasie wojny udaje mu się wyjechać do Szwajcarii gdzie przebywa wśród międzynarodowej grupy artystów walczących słowem, piórem i pędzlem przeciwko wojnom imperialistycznym. M. in. tworzy drzeworyty przedstawiające okrucieństwa wojny i będące jej oskarżeniem. W roku 1917 wykonuje serie drzeworytów „Wstają umarli” i „Umarli mówią”. Udoskonalając stale swój warsztat artystyczny dochodzi do wielkiej perfekcji. Postępuje się oszczędnymi środkami wyrazu, stosując wyłącznie biel i czerń, tworzy cykle drzeworytnicze o dużej ekspresji, wysokim poziomie artystycznym i wymowie dydaktycznej. W latach międzywojennych przebywa w Paryżu, gdzie głównie zajmuje się ilustrowaniem literatury oświatowej. Wykonał m. in. cykl ilustracji liczący 150 drzeworytów do „Przygód Dyla Sowizdrzała i Jagnuszka poczciwo-

ludzi swej ojczyzny. W latach drugiej wojny światowej należy do Ruchu Oporu. Tworzy dzieła antynazistowskie, utrzymuje żywy kontakt z działaczami walki podziemnej. Po wojnie w roku 1949 przenosi się do Nicei, a od 1969 roku mieszka na południu Francji w Awinionie.

## NOWE ROZWIĄZANIA ARCHITEKTONICZNE

W zasadzie istnieją dwie koncepcje racjonalnej budowy miasta. Jedna polega na wzniesieniu, na stosunkowo małej powierzchni gruntu, wysokich kompleksów mieszkaniowych, druga na budowaniu domków z ogródkami poza miastem, na przedmieściach. Francuski architekt Jacques Bardet twierdzi, że znalazł trzeci i do tego tanie rozwiązanie architektoniczne. Zbudował on już 163 mieszkania w Val d'Yerres (Essonne). Pomyśl Bardeta przypomina „Habitat 67” zespół mieszkaniowy pokazany w swoim czasie na wystawie w Montrealu. Każde mieszkanie składa się z sześciu izb i tarasu. Każdy taras jest równocześnie dachem części mieszkania

nitej położonego. Technika budowy takich mieszkań jest dość prosta: szkielet z betonu prefabrykowanego osadzony jest wokół centralnego rdzenia, w którym znajdują się przewody wodociągowe i kanalizacyjne. Mieszkania, jakby dostawiane wokół tego rdzenia, tak się sytuują by korzystać mogły z najlepszego nasłonecznienia, a równocześnie izolowały od wścibskich spojrzeń sąsiadów. Jedy- ną wadą, i to dość niebagatelną, jest jednak to, że w każdym mieszkaniu jest zbyt słaba izolacja odgłosów dochodzących z mieszkań sąsiednich.

## POWRÓT CZARÓW?

„Niedawno zwiedzałem w San Francisco dość duży, jasny i zachęcający sklep, który specjalizuje się w sprzedaży przedmiotów dla czarodziej i jasnowidzów” — pisze Raymond Christinger w dodatku literackim dziennika „Journal de Geneve” omawiając trzy ostatnio wydane w języku francuskim książki poświęcone historii czarnej magii, czarownikom i światu magii. Od kilku lat w krajach anglosaskich zaznacza się coraz mocniej zainteresowanie tym o czym zdawałoby się ludzkość już dawno zapomniała. Z jednej więc strony na rynkach księgarskich pojawiają się „podręczniki magii” z drugiej zaś literatura naukowa na temat magii jej przyczyna i istoty.

Jakże są przyczyny naglego zainteresowania się czarnoksiężstwem? Są one na pewno skomplikowane i wielorakie. Próbuja na to odpowiedzieć psychologowie i socjologowie.



Rysunek czarownicy według fragmentu jednej z akwafort Goyi



OD  
NIEDZIELI  
DO  
NIEDZIELI

## REMANENT MÓJ

POWAŻNE ARGUMENTY NOT — BAŁ WAŻNIEJSZY — ZNAWCZYNI LITERATURY — ILE KOSZTUJE „POWIEŚĆ ZA 3 GROSZE?” — WAJDA NA WYSOKIEJ WIEŻY — ZPAP NIE WIE O BIENNALE — CZEKAM NA LISTY.

Prowadząc stałą felietonową rubrykę co jakiś czas staję przed koniecznością upłynienia remanentów — faktów i faktików, drobniaków i śmiechszostek, które gromadzę przylgając się do życia. W przeciwieństwie jednak do handlu, wyprzedaję w tej rubryce nie będzie miała charakteru upychania bublell. Proponuję czytelnikowi towar pierwszorzędny tyle, że jakoś nie pasował na do asortymentu z reguły monotematycznych felietonów.

Zacznijmy od literatury. Jak wiadomo za parę dni odbędzie się w Łodzi walny zjazd Związku Literatów Polskich. Mówiono na ten temat poważnie i z du-

mą, że fakt obrad w naszym mieście sejmu literatury podnosi rangę Łodzi, że jest to wybór znaczący itp.

Łódź, ściśle, różne instytucje miejskie, szybko daly do zrozumienia, co myślą o tej randze. Naczelna Organizacja Techniczna zgodziła się udostępnić Zjazdowi swoją salę konferencyjną w Domu Technika. Alisici na cztery tygodnie przed Zjazdem wystosowano do ZG ZLP listek (tak go chyba nazwać należy), w którym oświadcza się beztrąsko, że NOT przypominał sobie o... balu. Więc wycofuje zgodę na wypożyczenie sali i klubu. Nie komentuję tego wydarzenia, bo sposób za-

łatwiania sprawy i argumentacja wystarczająco jasno mówią o tym, jaką reklamę zrobi Łódź powaga NOT-owskich argumentów.

I jeszcze coś z bezkili literackiej. Ukazał się niedawno rewelacyjny tom prozy Babla. Poszedłem więc w wędrowkę po księgarniach. Niestety — wy-czerpane. Alisici będąc w reprezentacyjnym Klubie Książki i Prasy zaryzykowałem raz jeszcze. „Czy są opowiadania Babla?” — pytam. „Nie ma” — pada błyskawiczna odpowiedź. Widzę jednak na półce sterczą zielonych tomików serii „Nike”, chcę się więc upewnić i nalegam — „Czy to nie są przypadkiem opowiadania Babla?” — Pan! za ladą odwraca się do koleżanki i pyta: „Nie mamy opowiadań Babla?” „Nie mamy” — pada odpowiedź. „Ale może jednak pokaże mi pan! tę książkę?” — wskazuję palcem na zielone tomiki.

Pani jest już zirytowana. Pochodzi do półki, bierze tom, czyta stronę tytułową, spogląda na mnie z berbrzezną pogardą i politowaniem. „Proszę — mów — ale to są „Utwory odnalezione”, a nie „Opowiadania”. Istotnie najnowsze opowiadania Babla noszą taki właśnie tytuł (włączono

tam bowiem także notatnik i scenariusze filmowe). Wyszedłem więc w oczach znawczyni literatury z KMPIK na absolutnego eolka, który sam nie wie, czego chce. Parę dni później chciałem kupić Brechta „Powieść za 3 grosze”, ale nie posiłem już do KMPIK. Znawczyni literatury zza lady, po sprawdzeniu ceny, odpowiedziała mi zapewne — „Proszę pana, to nie jest powieść za 3 grosze, ona kosztuje 40 złotych”.

Brzmia te remanentowe historyjki jak wymyślone, ale niestety. Zresztą najlepsze anegdoty wymyśla życie. Oto niedawno wybitny reżyser, Andrzej Wajda, otrzymał kierownictwo zespołu filmowego. Zespoły — jak wiadomo — noszą nazwy: „Kamera”, „Kadr”, „Iluzjon” itp. Wajda nazwał swój zespół... „Czterdzieści cztery”. Niby nie, niby nieszkodliwa megalomania, a jednak myśl mnie trapi, na jaką to wysoką wieżę zawędrował ten wybitny twórca. Kogo teraz powołać na kierownika literackiego takiego zespołu? Starszego wykładowcę Sorbony, Adama Mickiewicza, czy mgr Andrzeja Towiańskiego?

Zeby różnorodność tematycznej stało się zadość —

słowo o plastyce. W tym roku jak wiadomo odbywał się będzie w Krakowie Światowe Biennale Grafiki. W Łodzi — znów jak wiadomo — mamy sporo ciekawych grafików, którzy chcieliby swe prace do Krakowa wysłać. Nie trudno zgadnąć, że po informację w tej sprawie zgłaszają się do Zarządu Oddziału ZPAP, gdzie należa, placą składki i coś z tego chcieliby mieć. Chociaż informację.

Niestety. Pani kierująca sekretariatem odpowiada, że... nic jej w tej sprawie nie wiadomo. Spieszę więc poinformować etatową pracownicę ZPAP, że Biennale odbywa się co dwa lata i że termin nadsyłania prac już minął. Dlaczego jednak wybitni graficy łódzcy nie zostali o tym na czas poinformowani?

Jestem optymistą i czasem sobie lubię pomarzyć. Marzę więc, że po tym felietonie otrzymam listek z łódzkiego NOT, z Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki oraz z Zarządu ZPAP. Pionę z niecierpliwością, co też mi tam napiszą. Przypuszczam jednak, że się to nie stanie. Mój remanentowy felieton będzie jak kamień — rzucony w stojącą wodę.

JERZY WIDOK

# Bez strachu

## JEŻELI NAWET SŁOŃCE...

Byłem w gościnie u starej kobiety. Dostałem prawdziwą kawę, ciasteczka, znalazł się nawet kieliszek prawdziwego koniaku. Rozmawiałem o tym i o tym — najczęściej o prawdzie i fałszu. „Nie ma prawdy” — powtarzała wiele razy moja doświadczona gospodyni. Siła przekonania, z jaką wypowiadała to zdanie, zastępowała jej argumenty. Oto snieg spada, leży i bieleje zimny i, jak się wydaje, niezmienny. Mówimy i myślimy: świat jest zimny i biały, ale oto nagle niewiele tygodni, przyszywa słońce i świat w naszych oczach z całkowitą obojętnością dla powziętych przekonań ciepłe i zmienia się. „Zapewne, zapewne” — mówię niemiłosiernie, bo wiem, że tak trzeba mówić z ludźmi starymi. „Nie ma prawdy, ale może są rzeczy prawdziwe”. Nie ma rzeczy prawdziwych, to takie, które są stałe, bo tylko do rzeczy stałych można mieć zaufanie. Nigdy nie uwierzę, że świat jest biały dlatego, że obecnie zbieł od sniegu. Tyle już razy widziałam, jak słońce... „Właśnie, a słońce!” „Chce pan powiedzieć, że słońce jest stałe, rozumie pan, rozumie pan, nie, czy ono nam stałe przyszywa, bo jasne, że nie, ale czy jest stałe. Otóż nie — czytałem w pracy pewnego uczonego, że słońce przemienia się wiele razy, że stanie się małe i świecić będzie milion razy mocniej, niż obecnie, że stanie się czerwone i obrzyje jak cały układ słoneczny. Czytałem, że to słońce właśnie to słońce, do którego modlił się całe pokolenie ludzkość, zniszczy nas spali, albo wyzłodzi i jakże tu można ufać, jakże można wierzyć, że jest stałe, prawdziwe”. „Nie wolno nam, droga pani, mieć żalu do słońca i my nie jesteśmy stali, przemijamy. I o co więcej, a raczej co mniej, ludzkość nie jest stała, podobno ludzkość, traktowana jako całość, jest śmiertelna. Będzie istniała kilkadziesiąt milionów lat, a potem umrze. Tak więc nie przypinajmy latek słońcu, nie mówmy, że nas spali, wyzłodzi, opuści, kiedy słońce jeszcze będzie świecić, nas już nie będzie. Wtedy słońce będzie mogło zapisać: opuścił mnie, przemienił zdrajcę, wie, czy więc był prawdziwy, czy był godny zaufania i dla kogo teraz nam świecić?” „Widzi pan” — powiedziała starsza pani — „sam pan potwierdza moje racje”. „Czy chce pani powiedzieć, że sam potwierdzam prawdę pańskich słów. Alisici pani właśnie twierdzi, że prawdziwa nie ma, czy więc prawdziwa pani słów jest jakimś wyjątkiem, jedynym wyjątkiem?” Starsza pani zamilkła, zmieszana, pierwszy raz tego wieczoru. Ja także byłem zmieszany. Spędaliśmy się oboje w dziwnym super. Jedynym pokrepieniem była rozmowa świadomość, że od niepamiętnych czasów mądrejsi od nas ludzie bywali w podobnych sytuacjach. Że rozważali podobne sprawy przez całe życie, że w imię tych rozważań porzucali ludzi i szli na pustynie, gdzie żyli się szarańczą, a jeden z nich porzucił wygodne mieszkanie i zamieszkał w beczce... My siedzieliśmy w wygodnym, ciepłym pokoju, w nadmiernie długim milczeniu. Wreszcie gospodyni pierwsza ocknęła się i przysunęła mi ciasteczka. Długo, nalała prawdziwego koniaku. Jadłem i piłem, ale w pewnej chwili wydało mi się, że słyszę słaby szepot starej pani: Jeżeli słońce, jeżeli nawet słońce...

BERNARD SZTAJNERT





# Kuzyn antykwarium

Był to człowiek o dziwacznej powierzchowności: długa broda i wąsy, zawsze fajka w ustach, kolorowa czapka na głowie.

Jego sklep znajdował się przy rue Bayon w Brużes, wśród dziesiątków innych sklepów, które sprzedawały miejscowe specjalności: koronki, tkaniny, majoliki. Gustave Mérisse prowadził antykwariat drobnych i rzadkich przedmiotów. Jego mieszkanie mieściło się na zapleczu sklepu. Pasjonował się nie tylko handlem, lecz także hodował kwiaty w ogródku przed domem.

\* \* \*

Pewnego wieczora, pod koniec deszczowego października, gdy miał już zamknąć sklep zobaczył w drzwiach mężczyznę o wyglądzie cudzoziemca. Lecz gdy znajomy zbliżył się i uśmiechnął, Mérisse poznał go, chociaż nie widzieli się od kilkunastu lat.

— Patrzcie, patrzcie! — krzyknął. — Któż to się u nas zjawia! Mój kuzyn Xavier Lecoux! Lecoux był typem awanturnika, zaczął karierę jako aktor wędrownego teatru. Gdy go stamtąd wyrzucano, tułał się między paryskimi apasami. Mérisse wiedział, że wyszedł niedawno z więzienia.

— Myślałem, że jesteś w Paryżu — rzekł.

— Przyjechałem z Brukseli. Mam zamiar opuścić Europę na zawsze, wyjeżdżam wkrótce i przyszedłem do ciebie, bo przyszedłem do ciebie, bo przyszedłem do ciebie. Przecież tylko my dwaj pozostaliśmy z naszej rodziny.

— To bardzo ładnie, że sobie o mnie przypomniałeś — bąknął Mérisse.

Wiedział, że jeśli Xavier przyjechał aż do Brużes nie uczynił tego z miłości rodzinnej. Przez tyle lat nie przysłał żadnego listu ani kartki. Cel wizyty nie trudno było odgadnąć.

— Czy zostaniesz na kolacji? — Z przyjemnością, jestem nawet głodny.

Xavier Lecoux był chudy, wydawał się starszy, chociaż obaj byli w jednym wieku i podobnej budowy.

Mérisse zamknął sklep i przygotował kolację. — Prawdopodobnie nie zobaczymy się więcej — rzekł.

— Chyba tak — stwierdził Xavier. — Już dawno powinienem zdecydować się na wyjazd do Ameryki, gdyby nie...

No tak, gdyby nie ta teta wzięcia — pomyślał Mérisse. — Może w Ameryce życie inaczej ci się ułoży. — I zaraz dodał bez namysłu: — Gdybym ci mógł w czymś pomóc...

Tylko tego oczekiwał Xavier. — Tak, na pewno, możesz wiele zrobić dla mnie. Potrzebuję sto tysięcy franków.

— Co?... Sto tysięcy? Ależ to szalona suma!

— Dla kogo? Dla człowieka tak bogatego jak ty?

— Ja nie siedzę na złocie, drogi kuzynie. Wszystkie moje pieniądze są w tych przedmiotach, które tu widzisz na półkach i w szafach. Jeżeli chodzi o gotówkę to mam trochę pieniędzy na książeczce oszczędnościowej i nic więcej.

Xavier nalał sobie jeszcze likieru. — Cierpliwości! — rzekł. — Ton jego głosu nie podobał się panu Mérisse.

\* \* \*

W nocy, gdy antykwariusz zasnął, kuzyn zaczął buszować po sklepie. Musiał koniecznie zdobyć pieniądze, żeby zapłacić za fałszywy paszport. Może wystarczy jeden z tych przedmiotów, ale jak rozpoznać, co ma większą wartość?

Pod ścianą zobaczył antyczne biurko. Już miał storsować zamlock, gdy usłyszał głos właściciela: — Czego szukasz, kuzynie?

Xavier zrozumiał, że wszystko przepało! Teraz Gustave wypędzi go lub wezwie policję...

Odwrócił się wściekle. Antykwariusz krzyknął: — Ugościłem cię wczoraj, iż w domu moim nie popełnisz przestępstwa, ale widzę, że się pomyliłem.

Mérisse nie dokończył zdania, Xavier uderzył go pięścią w twarz. Antykwariusz przewracając się, uderzył głową o kryształową wazę i zneruchomiał na podłodze. Z ust popłynęła mu strużka krwi.

— Nie żyje!... — jęknął przerażony Lecoux. Ogarnęła go panika. Co robić?...

Po kilku minutach uniósł ciało kuzyna, zarzucił je na plecy i wyszedł do ogrodu. Była tam studnia, doskonałe miejsce dla ukrycia zwłok, dopóki on, Lecoux, nie zniknie z tego miasta. Wróciwszy do sklepu usunął najpierw ślady krwi na podłodze. Potem usiadł i rozmyślał, co czynić dalej. Ludzie wkrótce zauważą zniknięcie antykwariusza, zaczną się poszukiwania... Mérisse nie może zniknąć nagle... — Już wiem, co zrobić! — wykrzyknął...

Wyszedł z domu pozamykawszy wszystkie drzwi i świecił światło do podłogi...

Gdy wieczorem wrócił do Brużes, był zadowolony z siebie i ze swego pomysłu. Znalazłszy

się w ulicy, gdzie mieścił się sklep kuzyna, spotkał przechodnia, który go powitał: — Dobry wieczór, panie Mérisse, co za pogoda! Od rana deszcz pada!

— Pogoda pod psem! — odpowiedział Lecoux.

Niedługo potem jakiś staruszek zawołał: — Dobry wieczór, panie Mérisse!

Xavier Lecoux przyjął wygląd zewnętrzny pana Mérisse. Kilkuletnie doświadczenie aktora nauczyło go charakterystyki, wcielania się w inne postacie. Kupił sobie brode, gęste brwi i upodobał się do kuzyna tak, że każdy go uważał za antykwariusza Mérisse. Przeszkadzało mu głos, ale Xavier pozorował silny katar, obniżył ton głosu i udawało mu się wykonanie także i tej części roli.

Pewnej nocy obmyślił śmiały plan: musi sprzedać sklep i to jak najprędzej!

Znalazł w mieszkaniu dokumenty podpisane przez kuzyna, różną korespondencję, książeczkę oszczędnościową, z niewielką sumą wkładów. Nauczył się naśladować jego pismo i podpis. Następnie podał ogłoszenie do gazety: „Z powodu wyjazdu sprzedam tanio antykwariat”.

Tym, którzy go pytali dlaczego pozbywa się swego „skarbu” odpowiadał melancholijnie: — Jestem bardzo chory i muszę przenieść się na południe... Sprzedam wszystko za milion franków...

\* \* \*

— Mój drogi panie Mérisse, jak się pan miewa?

Mężczyzna, który pewnego popołudnia wszedł do sklepu wyglądał na człowieka bardzo z siebie zadowolonego. Przez jakiś czas przyglądał się Xavierowi, a potem zapytał ze smutkiem: — Czy to prawda? Sprzedaje pan sklep z powodu złego stanu zdrowia? I tylko za sumę jednego miliona?

— Trudno, kiedy człowiek jest zmęczony...

— Ależ mój drogi przyjacielu, miesiąc temu ofiarowałem panu dwa miliony i pan odmówił. Dlaczego teraz nie zwrócił się pan do swego przyjaciela Marvela?

Dwa miliony! Xavier żałował, iż nie może naprawić popełnionego błędu. Trudno, nie był kupcem, nie znał wartości sklepu.

— A więc załatwimy sprawę? — zapytał.

— Naturalnie, mój drogi, za milion franków kupię także pańskie dugi!

To mówiąc Marvel usiadł przy stoliku i zaczął coś pisać.

— Jeszcze dziś pojdziemy do notariusza. Jutro załatwimy resztę formalności i przed wieczorem stanę się posiadaczem antykwariatu. Oto pokwitowanie na zaliczkę.

Lecoux wzięł kwitek i podpisał. — Tylko dziesięć tysięcy franków? — zapytał.

— To jest najwyższy zadek w stosunku do sumy 50 tys. franków, która się panu należy.

— Jak to, 50 tys. franków? Przecież cena sklepu wynosi milion franków!

— Od tego należy odjąć 950 tys. franków, które mi pan winien. Mój drogi przyjacielu, czyżby choroba skróciła panu pamięć? Przecież pożyczylem panu milion, zaledwie cztery miesiące temu! Z tego oddał mi pan 50 tys., a więc resztę należności, czyli 40 tys. franków, wypłacę panu jutro.

Marvel zauważył, że antykwariusz przygląda mu się zmieszany i pobladły.

— Co się panu stało? Czy rachunek nie zgadza się? Oddam panu wszystkie weksle u notariusza.

— O jakich wekslach pan mówi?

Marvel zdumiał się. — Co się z panem dzieje? Oto jeden z weksli, podpisywał go pan, czy nie?

Marvel wyjął z portfela weksel i położył obok dopiero co otrzymanego pokwitowania. — O, do diabła! — krzyknął.

Xavier otrząsnął się z szoku i zapytał: — Co się stało?

— Te dwa podpisy... wydają mi się różne... Czy pan jest... Coś mi się tu nie podoba... Muszę się zastanowić...

Marvel skierował się ku drzwiom, lecz Xavier zastąpił mu drogę. — Dokąd pan idzie? — krzyknął.

Mężczyzna wyjął: — Ależ pan... pan nie jest Gustavem Mérisse!

Xavier wyciągnął pistolet i przyłożył mu do piersi: — Proszę się nie ruszać!

Marvel uśmiechnął się. — Pistolet nie panu nie pomoże, dom jest otoczony policjantami. Już kilka dni temu zrozumiałem, że nagła sprzedaż sklepu jest podejrzana. Zauważyłem także pewne różnice w wyglądzie pana, Mérisse był tęższy i miał inny głos. Rozmawiałem o tym z moim przyjacielem, komisarzem Fiers. Chciał zaraz aresztować pana, ale prosiłem, żeby mi pozwolił odegrać najpierw tę małą komedię, zabawę się w detektywa... Proszę mi oddać pistolet!

Xavier zrozumiał, że znalazł się w pułapce. Oddał broń.

— Ależ mi się udało! — krzyknął Marvel. — Policji nie ma przed domem, lecz zaraz ją zawiadomię!

\* \* \*

Komisarz Fiers nie znał Marvela. Po telefonie zjawił się w sklepie i słuchał jego wyjaśnień:

— Ten człowiek zajął miejsce swego kuzyna Gustava Mérisse, po jego zabiciu. Ciało wrzucił do studni w ogrodzie.

Komisarz posłał dwóch policjantów, aby skontrolowali.

— Jak się naprawdę nazywa? — zapytał Fiers.

— Nazywam się Xavier Lecoux. Nie zapamiętam mego kuzyna, uderzyłem go i upadł nieświadomie.

— Lecoux... — zastanawiał się komisarz — to stara znajomość.

— To jest impulsywny kretyn — wtrącił Marvel, który nigdy się nie zastanawia i dlatego popełnił wiele błędów.

— Widzę, że pan go zna — zdziwił się komisarz. W tym momencie policjanci



wrócili z ogrodu. — Panie komisarzu, studnia jest pełna słomy, nikogo tam nie znaleźliśmy.

— To całe szczęście, że była słoma! — krzyknął Marvel. — W przeciwnym razie zlamalbym kark w czasie upadku!

Xavier utkwili wzrok w Marvelu. Do diabła! Bez brody, odmiłody, elegancki... Ależ tak, to jego kuzyn Mérisse!

— Widzę, że mnie rozpoznałeś

— rzekł Mérisse. — Na drugi raz upewnij się, czy ofiara nie żyje, czy tylko zemdląca. Przydało mi się jednak to doświadczenie, odkryłem, że i w moich żyłach płynę krew łowcy przygód. Podobało mi się recytowanie roli pana Marvel. Jak ci się podoba moja charakterystyka? Szkoła mi tylko brody, ale zamieszczę nową, trochę krótszą, jak noszą dzisiejsi młodzieńcy...

A. S.

## W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

z okazji Walnego Zjazdu Związku Literatów Polskich zabiorą głos m. in. L. Bartelski, A. Braun, T. Hołuj, M. Jastrun, W. Jajdziński, S. Szmaglewska, L. Wantuła.

Poza tym: reportaże, felietony, nowela kryminalna.



## Lewym okiem

### CZŁOWIEK JEST KOWALEM?

Nie ma takiej sprawy w życiu, wobec której dwóch ludzi miałoby absolutnie równe szanse — poza samą śmiercią, ale to już żadna rekompensata. Żadne społeczne, przez ludzi wymyślone, urządzenia nie równają szans, co więcej — zrównanie takie spowodowałoby chyba zupełny zanik aktywności i stanowiło zwyczajną niesprawiedliwość, preferując leni, tupeciarzy, cyników. Piękna kobieta podoba się stu mężczyznom na sali, brzydka — tylko dwóm, co nie przeszkadza, że to właśnie ta brzydka może być szczęśliwa i że tylko jeden z tych dwóch da jej szczęście, szare drugiego pękniętą razem z balonikiem przed zakończeniem balu, a piękność pójdzie za sto pierwszym

chłystkiem, który zanudzi ją dowcipami z kalendarza. Ktoś mający półtora metra wzrostu nie dorówna w siatkówce swemu dwumetrowemu przeciwnikowi, choć obaj trenowali zawzięcie i są świetnymi graczami. Przepisy sportowe nie regulują tych spraw — z wyjątkiem boks, gdzie stawia się przeciw sobie zawodników o mniej więcej wyrównanej wadze. Czy przykład boksu należałoby naśladować wszędzie i zawsze?

Prasa doniosła właśnie o zabawnym przypadku gdy o jednego bramkarza hokejowego bije się kilka klubów kanadyjskich tylko dlatego, że bramkarz jest połączony tuszy i wypełnia sobą całą bramkę. Wolno mu? Wolno! Komu się nie podoba niech z nim nie gra; nawet o przelawnym Nurmim czytalem gdzieś, że jego normalne tętno było o wiele wolniejsze niż przeciętnych ludzi, czyli że gdy inni byli setnie zmęczeni, on dopiero zwyciężają oddychał. A przecież nikt sukcesów Nurmiego nie kwestionował!

Czy naśladować obyczaje ze świata boksu? Tam muszą być zniwelowane różnice, żeby nie doprowadzić do zbyt obskurnej rąbaniny, do masakry. Czy zatem drużyny koszykarskie segregować na klasy zależnie od wzrostu, a bramkarzy — od szerokości ramion? Czy piękne dziewczęta pokazywać tylko pięknym chłopcom, czy zadania matematyczne dawać tylko takim, żeby je wszyscy uczniowie mogli bez trudu rozwiązać? Pytać tylko tych, o których wiadomo, że

znają odpowiedź? Żeby się nie musieli wstydić, żeby

mieli równe szanse? No — to po co w ogóle pytać... Proszę bardzo, możemy mówić, a nawet musimy mówić, o równym starciu. Niech każdy ma możność sprawdzenia siebie, jeśli chce. Nie damy jednak wszystkim gietu na dobiegnięcie do mety. Jeśli słaby okaże się słabym już po paru krokach, to nie trzeba go podstępnie szprycami ani ciągnąć za uszy, tylko postawić na innej linii startowej, w innej konkurencji. Owszem pomóc mu w wyborze. A już będzie świetnym introligatorem, zamiast być marnym pisarzem? I tu księgi, i tu księgi, ale pewna różnica w uwarunkowaniach wrodzonych kandydata gra jednak jakąś rolę! Sama uparta pracowitość, niezmiernie ważna, nie decyduje przecież bez reszty. Człowiek jest kowalem własnego losu, ale kowale są dobrzy i źli, mają lepsze i gorsze narzędzia, różnie im się spod młota iskry syją, czasem prosto w oczy. Trudno, na takie nierówności nic się nie poradzi. Dzięki nim jesteśmy różni, każdy inny, każdy niepowtarzalny, nie do podrobienia. Bylibyśmy umieli nasze nierówności przekuć na nasze szanse — i wygrać je z pożytkiem dla wszystkich i dla siebie. Wygrać chociaż taką częśćkę, żeby nie zgorzknąć przed północą na rentę, żeby odwracając wstecz stronicę swego życia, chociaż nad niektórymi zatrzymać się z uśmiechem. —

CWIĘK